

Grzegorz CAŁEK || Lucyna CZECHOWSKA || Adam CZETWERTYŃSKI

# O LEPSZE HARCERSTWO

FELIETONY Z MIESIĘCZNIKA „CZUWAJ” 2014-2016

 **czuwaj**

Grzegorz CAŁEK || Lucyna CZECHOWSKA || Adam CZETWERTYŃSKI

# O LEPSZE HARCERSTWO

FELIETONY Z MIESIĘCZNIKA „CZUWAJ” 2014-2016

# O LEPSZE HARCERSTWO

FELIETONY Z MIESIĘCZNIKA „CZUWAJ” 2014-2016

Opracowanie, łamanie, korekta:  
redakcja „Czuwaj”

Zdjęcie na okładce:  
Piotr Rodzoch

Druk:  
Drukarnia GREG, ul. Sołtana 7, 05-400 Otwock

Wydawca:  
Warszawska Fundacja Skautowa

**ISBN 978-83-932395-2-8**

Wydanie pierwsze  
Warszawa 2016



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons  
Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowe.

# WSTĘP

Każda porządna gazeta ma stałe rubryki i ma stałych autorów, którzy piszą swoje teksty do każdego lub prawie każdego numeru – najczęściej w formie felietonu czy eseju. Podobnie jest z naszym instruktorskim „Czuwaj”. Mamy spore grono autorów, w tym takich, którzy piszą do nas w miarę regularnie. Ale w ostatnich dwóch-trzech latach naprawdę regularnie piszemy w trójkę: hm. Lucyna Czechowska, hm. Adam Czetwertyński i niżej podpisany.

Troje autorów, harcistrzów i trzy różne spojrzenia na harcerstwo i problemy naszej organizacji.

Adam Czetwertyński od kilkunastu miesięcy wspomina swoją instruktorską drogę, już ponad półwieczną (!) – stąd tytuł rubryki „Pół wieku”. W swoim stylu, wnikliwym, cechującym się dystansem i humorem pokazuje harcerstwo ostatnich pięćdziesięciu lat: czasem zupełnie inne, na miarę czasów, w których przyszło mu działać, a czasem niezwykle podobne do dzisiejszego – z tymi samymi problemami, mimo że epoka inna, mimo że zdecydowanie inna skala.

Lucyna Czechowska zaczęła pisać do „Czuwaj” najpierw w rubryce, którą nazwaliśmy „pogromczyni mitów” – jako że starała się walczyć z wólkoharcerskimi mitami, potem zmieniliśmy tytuł na „okiem WIP”. WIP – czyli Wydział Inspiracji i Poradnictwa GK ZHP, który Lucyna stworzyła, to – jak widać po jej tekstach – kopalnia inspiracji, głównie programowych, głównie dotyczących problemów dotyczących drużynowych, namiestników, programowców.

No i teksty moje, które, co oczywiste, trudno mi obiektywnie scharakteryzować. Z pewnością ma na nie wpływ doświadczenie pełnionych przeze mnie ostatnio funkcji. A więc 10 lat na funkcji komendanta bardzo dużego hufca, prowadzenie KSI czy moja największa pasja – kształcenie. Piszę

zatem o problemach ZHP, o tym, co mnie denerwuje, zachęcam do refleksji, wierząc cały czas w fenomen harcerstwa i w to, że tylko od nas zależy, czy będziemy mieli więcej harcerstwa w harcerstwie.

Troje autorów – różny wiek, różne doświadczenia harcerskie i życiowe. Ale, oprócz stopnia instruktorskiego, łączy nas wiara, że słowo może zmienić naszych Czytelników – instruktorów. Łączy nas determinacja w walce o lepsze harcerstwo!

Zachęcam gorąco do lektury tego zbiorku felietonów. I tych, którzy nie czytają na bieżąco „Czuwaj” (oj, to błąd!), i tych, którzy prenumerują nasz miesięcznik i wcześniej czytali już te teksty. Zapewniam, że o ile pojedyncze felietony są szybkie w czytaniu i czasem mogą nie skłonić do refleksji, to tych kilkadziesiąt tekstów w jednym miejscu działa inaczej – to dawka inspiracji instruktorskich, którym nie sposób się oprzeć!

hm. Grzegorz Całek  
redaktor naczelny  
miesięcznika instruktorów ZHP „Czuwaj”

# FELIETONY

HARCMISTRZ  
GRZEGORZ CAŁEK



# Kodeks Instruktorski

---

nr 1/2014

---

**D**awno, dawno temu... Nie, wcale nie tak dawno, bo w grudniu 2005 roku XXXIII Zjazd ZHP podjął uchwałę w sprawie Podstaw wychowawczych ZHP, w której m.in. zobowiązał wszystkie środowiska harcerskie do przeprowadzenia dyskusji „na temat aktualnego rozumienia Prawa Harcerskiego”. Dyskusja ta się odbyła (mieliśmy konferencje w hufcach i chorągwiach, a ich efekty zostały zebrane i przedstawione zjazdowi ZHP) i zakończyła uchwałą XXXIV Zjazdu Nadzwyczajnego ZHP, który odbył się w czerwcu 2007 r. w Załączu Wielkim. Dodam dla porządku, że Prawo Harcerskie nie zostało zmienione. W tej dyskusji sporo miejsca zajęła rozmowa o postawach instruktorów, o tym, czy ich również obowiązuje Prawo, pojawiały się pomysły, aby stworzyć dla nich zupełnie nowe narzędzie.

Efektem tych rozważań była uchwała załączniańskiego zjazdu w sprawie postaw instruktorskich, w której czytamy m.in.: *Zjazd uznaje potrzebę stworzenia Kodeksu Instruktorskiego, który powinien być opisem pożądanych postaw instruktorów i osób pełniących funkcje instruktorskie. Kodeks powinien opisywać wzór instruktora świadomie realizującego misję ZHP oraz stanowić uzupełnienie Prawa Harcerskiego i Zobowiązania Instruktorskiego.*

Stało się zgodnie z wolą zjazdu. Powstał specjalny zespół, który stworzył projekt dokumentu. Ostatecznie Kodeks Instruktorski został przyjęty Uchwałą nr 33/XXXV Rady Naczelnej ZHP z dnia 7 marca 2009 r. w sprawie Kodeksu Instruktorskiego.

Został przyjęty i?... Pojawił się na stronie dokumentów ZHP, zrobiliśmy wkładkę do „Czuwaj” (6-7/2009), został wpisany w treści kursu podharcemistrzowskiego, ale właściwie nie zaistniał w Związku. A szkoda.

Co to jest ten Kodeks? To właściwie zbiór wymagań, jakie powinni stawić sobie instruktorzy, zgrupowanych w czterech obszarach: instruktor wobec siebie, instruktor wobec wychowanków, instruktor w organizacji i instruktor na zewnątrz organizacji. Oprócz konkretnych wytycznych mamy w każdym z tych czterech obszarów coś w rodzaju idei/preambuły.

Łącznie znajdziemy w Kodeksie Instruktorskim 26 wskazówek. Ktoś mógłby powiedzieć, że to zbiór banałów. Czyżby? Jestem przekonany, że każde ze zdań może być doskonałym narzędziem do instruktorskiej refleksji i kształtowania swojego charakteru zgodnie z duchem Prawa Harcerskiego – szczególnie podczas realizacji prób instruktorskich, w których jakże często koncentrujemy się na realizacji namacalnych, technicznych zadań, zapominając, że podczas zamykania próby musimy wykazać się spełnianiem idei danego stopnia.

Kodeks to także doskonałe źródło inspiracji dla kadry pracującej z instruktorami. Twórcze podejście namiestnika lub kształceniowca może sprawić, że Kodeks będzie wspaniałym punktem wyjścia do zajęć na kursach, rozmów instruktorskich czy komendanckich gawęd.

Zachęcam: odkrywmy Kodeks Instruktorski!



# Szukajmy okazji

---

nr 3/2014

---

**W** naszym statucie czytamy, że *ZHP realizuje cele przez harcerski system wychowawczy rozumiany jako jedność zasad harcerskiego wychowania, metody i programu, w którym istotną rolę odgrywa – uwaga! – osobisty przykład instruktora. A w kolejnym zdaniu, że zasady harcerskiego wychowania to: służba, braterstwo oraz – uwaga! – praca nad sobą.*

Jeśli praca nad sobą jest jedną z najważniejszych naszych zasad i jeśli tak ważny jest osobisty przykład instruktora czy – szerzej – kadry, to trudno się dziwić, że wymyślono kiedyś stopnie instruktorskie, które – jak czytamy w Systemie stopni instruktorskich – wyznaczają drogę rozwoju instruktorskiego.

Szczególną rolę w tym rozwoju odgrywają zorganizowane, zwarte, opisane dość szczegółowo (standardami) formy – kursy „do stopnia”. Warto przypomnieć, że kandydat na przewodnika ma obowiązkowo ukończyć kurs przewodnikowski, a instruktor zdobywający stopień podharcmistra – kurs podharcmistrowski.

Jedynie przyszli harcistrzowie nie muszą obligatoryjnie kończyć kursu harcistrzowskiego. Ale im częściej słyszę z ust kandydatów na harcerskich mistrzów, że im to niepotrzebne albo że nie mają czasu na doksztalcanie się, tym bardziej jestem za wprowadzeniem obowiązku ukończenia także tych kursów!

Idźmy dalej. Ponad dekadę temu w Głównej Kwaterze (a może bardziej – w CSI ZHP) doszli do wniosku, że kształceniowiec to wyjątkowy typ instruktora. Taki, na którym ciąży szczególna odpowiedzialność za wiedzę, umiejętności i postawy nowych – w zależności od poziomu kształcenia – drużynowych, szczepowych, namiestników, komendantów hufców itd.

Jeśli więc jakaś grupa instruktorów ma się naprawdę permanentnie rozwijać, to przede wszystkim właśnie kształceniowcy. I dlatego, że powinni być zawsze na bieżąco, i ze względu na konieczność doskonalenia swoich umiejętności i poszerzania kształceniowego repertuaru (co, jak wiadomo, może chronić przed zgnębą w kształceniu rutyną), i oczywiście dlatego, że uczestnicy kursów, warsztatów bacznie ich obserwują, zatem wspomniany na wstępie osobisty przykład instruktora ma tu naprawdę duże znaczenie!

Efektem tego procesu myślowego było wprowadzenie czasowości odznak kadry kształcącej. Jak przy każdej zmianie opór był duży. Ale – tak z ręką na sercu – czy to źle, że chcemy w Związku, aby OKK nie była blaszką, lecz świadectwem chęci dalszego aktywnego udziału w kształceniu? I czy to źle, że wymagamy przy kolejnym przedłużaniu uprawnień tej odznaki, aby wykazać się uczestnictwem przynajmniej dwa razy (w ciągu trzech lat) w szkoleniu przydatnym w kształceniu?

Kiedy więc słyszę, a słyszę ostatnio dość często, że ktoś jest tak zajęty tym kształceniem, ma tyle roboty, że w ciągu minionych lat nie znalazł zaledwie dwóch okazji do doskonalenia swoich umiejętności kształceniowych, to jakoś nie mogę w to uwierzyć...

Á propos okazji. Zachęcam do udziału w organizowanych przez CSI ZHP kursach kadry kształcącej II stopnia, adresowanych do kształceniowców z OKK, a przede wszystkim z doświadczeniem. Najbliższa okazja w maju na Głodówce. Kolejna – już we wrześniu. I nie będzie wcale tanim chwytem marketingowym, gdy napiszę, że liczba miejsc jest ograniczona...

Szukajmy okazji do doskonalenia się!

# Życzliwość i szacunek!

---

nr 4/2014

---

**M**oże to wyczulenie wynikające z funkcji członka KSI przy GK ZHP? MA może jakoś podskórnie szukam problemów ze względu na prowadzone prace nad poradnikiem dla komisji stopni? A może to tylko taka moja wrodzona alergia na głupotę i utrudnianie życia młodym instruktorom, którym jeszcze (na szczęście) się chce?

Nie wiem dlaczego, ale ostatnio skumulowały mi się (i rozgrzały mnie do czerwoności, harcistrzowskiej, rzecz jasna) różne przykłady, pokazujące, że trzeba naszym komisjom stopni instruktorskich przypomnieć, jaka jest ich rola.

No bo jak tu się nie denerwować, gdy komisja nie przejmuje się zupełnie faktem, że wygasły jej uprawnienia i dalej prowadzi „na lewo” próby na stopień podharcmistra czy harcmistra? Nielegalne otwieranie prób – no, to jeszcze mały problem, bo próbę może w trakcie przejąć KSI wyższego szczebla. Ale co zrobić, gdy przyznano bez uprawnień stopień instruktorski? Czy ktoś pomyślał, jakie to może mieć konsekwencje?

A co będzie, jeśli „nielegalny” harcistrz będzie jesienią kandydował na funkcję komendanta chorągwi albo do sądu harcerskiego chorągwi? Albo jeśli „nielegalny podharcistrz” zostanie opiekunem próby przewodnikowskiej? Co się stanie, gdy już po fakcie ktoś to wychwyci? Czeką nas anulowanie otwarcia próby albo unieważnienie wyborów dokonanych na zjeździe?

Inna sytuacja: jeden, drugi, trzeci instruktor opowiada podobną historię, jak to przychodzi na spotkanie pewnej komisji, ale komisja... zupełnie nie jest zainteresowana jego wypowiedzią, lekceważy argumenty, narzuca swoje zadania (które nie są dla danej osoby żadnym wyzwaniem), wyśmiewa zadania wykonane na wyższym szczeblu Związku – bardziej

złożone, o kilka klas trudniejsze, niż zwykle spotykane na tym poziomie. Efekt? Przychodzenie po kilka razy na otwarcie, aż komisja zaakceptuje wszystkie zmiany (widziałem – głupie, psujące świetne, spójne i przemysłane próby!), płacz przy wychodzeniu ze spotkania z komisją, demotyvacja młodych instruktorów. Jak się więc nie denerwować?

Warto może zajrzeć do Systemu stopni instruktorskich, w którym czytamy:

*KSI stymuluje rozwój instruktorów, m.in. przez:*

- *budowanie etosu stopnia instruktorskiego,*
- *dbałość o wysoki poziom prowadzonych prób instruktorskich,*
- *dbałość o poziom merytoryczny spotkań KSI ze zdobywającymi stopień i opiekunami,*
- *budowanie dobrego wizerunku KSI.*

Czy to naprawdę nie jest jasne? Czy tak trudno zrozumieć – to do was, komendanci! – że KSI to nie przechowalnia, ale miejsce dla instruktorów najlepszych z najlepszych, którzy potrafią pracować z młodą, ambitną kadrą, którzy potrafią ją zmobilizować, zmotywować? Czy to wymaga przypominania, zapisywania w dokumentach – teraz piszę do członków KSI – że rolą komisji jest dbałość o nasz największy kapitał, czyli kadrę!? I że podstawą jest tutaj zwykła, ludzka życzliwość i zwyczajny szacunek dla innego instruktora?

# Można na co dzień

---

nr 5/2014

---

**M**ożna większość spraw między kadrą a władzami hufca i chorągwi załatwiać nie w formie oficjalnych pism. Można nawet w ogóle nie drukować pism i nie przysyłać ich jako skan pocztą elektroniczną (to taka modna forma udawania, że ograniczamy biurokrację), a poprzestać na formach mniej oficjalnych, opartych na zaufaniu między instruktorami.

Można nie tylko w sposobie korespondencji, ale w codziennym funkcjonowaniu pokazać, że mamy zaufanie do naszego drużynowego, szeregowego – wierząc w to, co nam mówi, bez żądania dodatkowych potwierdzeń, dokumentów itd.

Można na co dzień ułatwiać naszej kadrze życie, załatwiając sprawy proste od ręki. Bo czy na przykład tak banalna czynność, jak rejestracja książeczki harcerskiej lub instruktorskiej wymaga wypełnienia długiego formularza (oczywiście elektronicznie, bo „mniej papierów”) dwa tygodnie wcześniej?

Można oszczędzić czas drużynowemu, komendantowi obozu, rezygnując z wydawania instrukcji do zasad chorągwianych wydanych... do instrukcji GK ZHP; i generalnie – z produkowania masy hufcowych czy chorągwianych przepisów.

Można w całym okresie realizacji próby na stopień instruktorski udowodniać swoim podejściem, że tutaj przede wszystkim chodzi o rozwój instruktora, o jego dochodzenie do poziomu opisanego w idei stopnia, a nie o mechaniczne, bezrefleksyjne wypełnienie wymagań zapisanych w regulaminie.

Można, odwiedzając zbiórkę, przyjąć postawę nie ostrego wizytatora, ale życzliwego starszego instruktora, który z chęcią wspomże radą, skłoni

do refleksji, podziękuje i zmotywuje do dalszego rozwoju jako człowieka i jako harcerskiego wychowawcy.

Można wreszcie tego naszego drużynowego traktować na co dzień jak partnera, tak po ludzku, pokazując mu, że jesteśmy mu wdzięczni za to, że zamiast iść na randkę, do kina, basen czy gdziekolwiek indziej – on robi coś fajnego dla dzieciaków. I że na nim – na jego rozwoju, jego satysfakcji, jego motywacji – nam naprawdę zależy!

Można częściej niż na zjeździe raz na dwa lata mówić „dziękuję”.

Naprawdę można na co dzień, na każdej funkcji (komendanckiej, w namiestnictwie i KSI, ale też w sądzie harcerskim i komisji rewizyjnej) i na bardzo wiele sposobów wdrażać w życie nie tyle nawet zapisy, co idee zawarte w Strategii rozwoju ZHP, obowiązującej już dwa i pół roku.

E? A? Że jak? Tak, tak, już dwa i pół roku temu zjazd ZHP przyjął, że drużyny ma być „w centrum zainteresowania całej organizacji”, że ma być prosta dokumentacja, kadra dobrze motywowana a struktura organizacji przyjazna... Czas podejść do tych zapisów na serio, nie godzi się przecież lekceważyć postanowień najwyższej władzy Związku, prawda?

# Warunki konieczne

---

nr 6/2014

---

Zachęcony przez Justynę Sikorską (patrz: tekst na str. 30-31 numeru 6/2014 „Czuwaj”), zająłem do „Raportu z Arkusza analizy hufca 2012/2013”. Poczytałem, popatrzyłem na liczby, pododawałem i czym prędzej sięgnąłem do „Zasad tworzenia i działania hufca”, aby sprawdzić, czy coś się nie zmieniło. Jakiż to byłoby obciach, gdybym – jako komendant hufca z niemal dziesięcioletnim stażem – nie znał tego bądź co bądź podstawowego na tej funkcji dokumentu!

Sprawdziłem więc, a właściwie przypomniałem sobie, że obowiązuje wciąż dokument z 2006 roku, w którym mamy pięć warunków koniecznych do utworzenia, a potem istnienia każdego hufca (podaję w skrócie):

- w hufcu działa co najmniej 10 podstawowych jednostek organizacyjnych, obejmujących wszystkie grupy metodyczne,
- działa co najmniej 15 instruktorów przygotowanych do realizacji zadań statutowych hufca, zgodnie z obowiązującymi instrukcjami dotyczącymi pracy z kadrą w ZHP (czytaj: głównie „System pracy z kadrą”, „System stopni instruktorskich” i „Kształcenie kadry w ZHP”),
- jest gwarancja pozyskania lokalu na siedzibę hufca,
- istnieje możliwość odbioru poczty elektronicznej,
- jednostki i instruktorzy regularnie opłacają składki członkowskie.

Wróćmy do „Raportu” – otóż poczułem nagłą potrzebę sprawdzenia tych zasad, gdyż kilka razy mi się coś nie zgodziło. Co takiego?

245 badanych hufców, czyli nieco ponad dwie trzecie, ma przynajmniej 10 działających podstawowych jednostek organizacyjnych. Można się próbować pocieszyć, że nie wszystkie hufce wypełniły wszystkie pola arkusza, obawiam się jednak, że wśród tej jednej trzeciej jest kilkadziesiąt jednostek, które nie mają wymaganych 10 gromad i drużyn.

Czytam dalej: „Aż 255 hufców deklaruje, że działa w nich co najmniej 15 instruktorów, co stanowi 71% ogólnej liczby hufców”. Hmm, chyba nie napisałbym „aż”, bo przecież to podstawowy warunek istnienia hufca w ZHP!

Dalej: okazuje się, że w niespełna połowie hufców działają hufcowe lub międzyhufcowe zespoły kadry kształcącej. W 5% hufców nie ma KSI – niby niedużo, ale przecież to także jest zespół obowiązkowy w każdym hufcu!

Warto jeszcze poczytać o kursach, namiestnictwach, zespołach programowych – to naprawdę ciekawa lektura. Szkoda tylko, że wyłania się z tej lektury podział hufców mniej więcej na trzy równe części: jedna trzecia – takich, które realizują z powodzeniem swoje zadania, jedna trzecia takich, które realnie nie są hufcami albo ledwie zipią, no i jedna trzecia – wśród których są hufce „średnie”, mam nadzieję, że równające w górę.

Trzeba coś z tym zrobić! Ale to temat na inny, dużo dłuższy tekst...



# Nienormalność w mowie

---

nr 7-8/2014

---

Afera podsłuchowa, która wstrząsnęła niedawno Polską, komentowana była chyba przez wszystkich – od najzwyczajniejszych obywateli na samym dole, przez media, aż po najwyższe władze państwowe. Większość oczywiście miała charakter bardzo polityczny (bo każdy przecież widzi i słyszy, co chce). Mnie natomiast chyba najbardziej zainteresowały komentarze pojawiające się dość powszechnie w mediach, które dotyczyły języka podsłuchanych rozmów.

Mogliśmy więc usłyszeć i przeczytać niejednokrotnie opinię, że jest to przecież normalny, codzienny język Polaków, że tak mówią teraz elity, że... tak mówią właściwie wszyscy – od ucznia po profesora.

I to mną wstrząsnęło, bo ja chyba jednak żyję w innym świecie – i nie otaczają mnie ci „wszyscy”! Owszem, słyszę w swoim otoczeniu rozmaite ozdobniki językowe, niezaciekawe słownictwo, ale to wcale nie jest norma, codzienność. A na pewno nie jest to coś normalnego w gronie harcerskim, czy – tym bardziej – instruktorskim (drużynowych, kształceniowców!). Wokół mnie na szczęście ludzie używają dość przyzwoitego języka, zostawiając sobie wulgaryzmy na wyjątkowe okazje. Ba, nawet tak powszechnie niestety używanego słowa, jak „zajeb...” w mojej obecności raczej się nie używa, bo to tępię.

Cóż więc robić? Czy powinniśmy w życiu prywatnym i organizacyjnym – w harcerstwie przywyknąć do tego, że „wszyscy” tak mówią? Oczywiście, że nie! Choćby ze względu na to, co sobie napisaliśmy w kilku ważnych dla nas dokumentach. Przypomnę te najważniejsze:

*Misją ZHP jest wychowywanie młodego człowieka, czyli wspieranie go we wszechstronnym rozwoju i kształtowaniu charakteru przez stawianie wyzwań.*

*ZHP realizuje cele przez harcerski system wychowawczy rozumiany jako jedność zasad harcerskiego wychowania, metody i programu, w którym istotną rolę odgrywa osobisty przykład instruktora.*

*Harcierz jest czysty w myśli, w mowie i uczynkach; nie pali tytoniu i nie pije napojów alkoholowych.*

*Jestem świadoma/świadomy odpowiedzialności harcerskiego wychowawcy i opiekuna.*

\* \* \*

W poczuciu odpowiedzialności instruktorów-wychowawców postawmy więc naszym wychowankom wyzwanie – zadbajmy o czystość w mowie. No i oczywiście zacznijmy od siebie. Już, od teraz!

Może będziemy przez to niedzisiejsi czy nienormalni, ale czy to nie jest interesująca nienormalność?

# O co chodzi w kształceniu?

---

nr 9/2014

---

**N**a tytułowe pytanie (w którym, rzecz jasna, chodzi o nasze związane kształcenie), odpowiedź jest chyba oczywista: żeby czegoś nauczyć! Żeby dostarczyć konkretnej wiedzy, wykształcić albo przynajmniej zainicjować nabycie pewnych umiejętności, aby zmienić myślenie o czymś ważnym czy, patrząc głębiej, kształtować postawy – harcerskie, instruktorskie, ludzkie.

Aktywny kształceniowiec dopowie pewnie, że to, co ma się stać z uczestnikiem kursu czy warsztatów po zajęciach, znajdziemy w konspekcie tych zajęć. W przypadku kursów jest jeszcze łatwiej, bo mamy czarno na białym określone w standardach, co uczestnik kursu będzie wiedział, rozumiał, potrafił itd.

Dlaczego przypominam tutaj takie oczywistości? Czy naprawdę zapomnieliśmy, o co chodzi w kształceniu? Czasem mam wrażenie, że niestety tak...

Do tego przypomnienia skłoniła mnie lektura kilku konspektów zajęć różnych instruktorów. Nie byle jakich, bo rasowych kształceniowców, którzy aspirują do posiadania brązowej i srebrnej OKK. Co znalazłem w tych konspektach? Opis zajęć, które z pewnością będą fajne, świetnie wspomniane przez uczestników. Tyle tylko, że to przerost formy nad treścią. Nie, nawet nie to. Bo tam nie było ŻADNEJ treści. Bo po tych zajęciach na pewno uczestnicy nie będą wiedzieli, umieli nic nowego związanego z tematem zajęć!

Wiem, że nie jest to odosobniony przypadek. Skąd to się wzięło? Pewnie stąd, że kiedyś sobie wmówiliśmy, że najważniejsze jest, aby być w stylu nauczania przeciwieństwem szkoły, bo uczymy w działaniu itd. W efekcie chcemy uczyć ludzi bez łopatologicznego czasem wyłożenia im tego, co

najważniejsze – bo zero wykładu, bo przede wszystkim atrakcyjna forma! Co więcej, zawsze chcemy z ludzi wyciągać wiedzę, jakby rzeczywiście cała potrzebna wiedza w nich była. Chyba przez tę naszą wzajemność oddziaływań boimy się stanąć przed nimi i powiedzieć: ja to wiem, ja się na tym znam, więc chwilkę mnie posłuchajcie. Nie, tak nie wolno, bo uczenie w działaniu, bo wzajemność oddziaływań, bo atrakcyjna forma. No, może z trudem to przejść, ale tylko w jednym przypadku – gdy naszą wypowiedź nazwiemy... gawędą.

No i jeszcze jedno – jesteśmy niewolnikami ankiet ewaluacyjnych, w których uczestnik zajęć nie oceni przecież, czy coś zmieniło się w jego głowie, ale zwykle to, jakie zrobiliśmy show.

O co więc chodzi w kształceniu? O skuteczność w zmienianiu ludzi, a atrakcyjność to tylko pożądany dodatek.

PS: Á propos poprzedniego tekstu o czystości w mowie – otrzymałem ostatnio taką oto wiadomość, jakże miłą i motywującą: *Od przyjazdu z kursu pozarażałam cały nasz hufiec zwracaniem uwagi na słownictwo i wypowiedzi. Często się poprawiamy i leczymy z niepoprawnych sformułowań. Wejdzcie to też jako stały punkt programu do moich kursów. Jeszcze raz dzięki.*

# Dylematy i okazje wyborcze

---

nr 10/2014

---

15 listopada tego roku mamy wybory samorządowe. Biorąc pod uwagę liczbę kandydatów, liczbę stanowisk do obsadzenia, a także poziom zaangażowania społecznego i odpolitycznienia mierzony liczbą niepartyjnych komitetów wyborczych – są to bez wątpienia wybory szczególne.

Dla nas – harcerstwa najistotniejsze jest to, że są to wybory najbliższe naszym sprawom – najbardziej lokalne, a zatem mające największy i bezpośredni wpływ na funkcjonowanie być może każdej drużyny i każdego szczepla, a na pewno na działanie każdego hufca.

Jest już za późno, aby przekonywać naszych instruktorów do zaangażowania w wybory przez udział w nich w charakterze kandydatów. Za późno, ponieważ listy zamknięte i machina wyborczy toczy się w swoim rytmie. Można jednak i warto zastanowić się nad miejscem harcerstwa w czasie kampanii wyborczej i zaraz po wyborach.

Jeśli chodzi o okres wyborczy – tu jest sprawa jasna, gdyż „od zawsze” pojawiały się przed kolejnymi wyborami uchwały, stanowiska i listy rozmaitych władz ZHP (zjazdów, Rady Naczelnej, Przewodniczącego), zachęcające naszą kadrę do kandydowania – bo przecież do tego wychowujemy, do aktywności obywatelskiej, a udział w wyborach do władz samorządowych jest tego wyjątkowo namacalnym świadectwem.

Ale również „od zawsze” w takich okresach wracają pytania o to, gdzie jest granica między pożądaną aktywnością obywatelską kadry a politycznym zaangażowaniem Związku, który – przypomnę – apolityczność ma zapisaną w swoim statucie.

Gdzie więc jest ta granica? Nie mam wątpliwości, że każdy kandydat może wpisać w swoim CV, na swojej ulotce, że jest instruktorem harcerskim – to przecież istotny fragment jego życiorysu, podobnie jak wykształcenie, zawód czy doświadczenie na innych polach społecznej aktywności. Nie mam też wątpliwości, że nie wolno żadnym władzom ZHP oficjalnie (np. w formie uchwał) popierać konkretnych komitetów wyborczych i kandydatów. To skrajne problemy, natomiast większe dylematy są bliżej środka tej granicy, za którą jest już naruszenie apolityczności Związku.

Bo czy na ulotce wyborczej można pokazać się w harcerskim mundurze? Jeśli byłoby to jedno z kilku zdjęć kandydata – pewnie dla mnie byłoby to do zaakceptowania, ale gdyby to miało być główne zdjęcie wyborcze zamieszczane na plakatach – oj, chyba to już dla mnie przekroczenie tej granicy. Powtórzę: dla mnie, ale czy da się wyznaczyć tę granicę obiektywnie, „ogólnozwiązkowo”?

I na koniec jeszcze jedno: są okazje do pokazania się, zaprezentowania dorobku, potencjału i wspaniałości (tak, tak, nie bójmy się tego słowa) harcerstwa, które zdarzają się rzadko. Do nich należy z pewnością okazja do pokazania się nowym władzom samorządowym, zrobienia na nich dobrego „pierwszego wrażenia” – ona zdarza się raz na cztery lata. Nie wolno jej zmarnować! Niech więc napisanie listu gratulacyjnego do nowo wybranych radnych, prezydenta, burmistrza, wójta będzie zadaniem obowiązkowym na listopad dla każdego komendanta.

# Żaden, tfu, tfu, trener!

---

nr 11/2014

---

Czasem dziwni jesteście. Na przykład kiedy organizujemy kurs, jakiś nasz typowo harcerski (oj, mamy ich mnóstwo), to wydajemy oprócz zwykłego dyplomu także zaświadczenie, dyplom tzw. zewnętrzny. Robimy tak i dlatego, że standardy kursów tego wymagają, i w związku z rosnącym zapotrzebowaniem na takie dokumenty – bo przecież nie wiadomo, co się kiedy przyda... Piszemy zatem językiem zewnętrznym, że ktoś uczestniczył w szkoleniu liderów, animatorów grup albo – o właśnie! – trenerów organizacji pozarządowych.

No ale jednak dziwni jesteście, bo jednocześnie widzę dość często, jak to słowo „trener” nie chce nam przejść przez usta (tutaj: raczej przez palce wypisujące na klawiaturze treść dyplomu). Bo przecież my nie jesteście żadni, tfu, tfu, trenerzy – tylko kształceniowcy! My przecież nie trenujemy naszej kadry (bo czy harcerstwo to jakiś sport albo biznes?), my ją kształcimy!!!

Kształceniowiec – powiedzmy sobie szczerze, że jest to nasz harcerski wymysł. Sam używam tego słowa z przyjemnością (a może bardziej z przyzwyczajenia), ale wiem doskonale, że poza ZHP to zupełnie niezrozumiałe określenie. Zresztą wystarczy podpytać wujka Googla, aby się o tym przekonać...

Czy zatem powinniśmy zaprzestać używania słowa „kształceniowiec”? Ależ nie! Jednak musimy mieć świadomość, co ono mówi osobom spoza ZHP (wiem: nic!), a na pewno przestać używać słowa „trener” z pewnym nieskrywanym obrzydzeniem – co niestety często ma miejsce. Dlaczego? Bo trener to nie tylko człowiek szkolący w biznesie albo sporcie. Mamy trenerów także w instytucjach publicznych oraz w organizacjach pozarządowych. No ale przecież nasz kształceniowiec to najczęściej coś więcej

niż trener! To prawda, czasem, gdyż nasi związkowi trenerzy lubią wchodzić w rolę coacha. No ale coaching – o rety, to znowu zakazane słowo, o czym przekonałem się ostatnio po raz kolejny, czytając zaproszenie na jakiś kurs instruktorski, w którym zapewniano potencjalnych uczestników, że nie będzie na nim jakichś dziwnych wynalazków, jak m.in. ten – za przeproszeniem – coaching...

No i na koniec jeszcze jedno słowo, które budzi – na szczęście – coraz mniejsze obrzydzenie: wolontariusz. Już dociera do instruktorów, zwłaszcza tych w harcerskich komendach, że jesteśmy wolontariuszami, bo przecież ochotniczo i bez wynagrodzenia robimy wiele dla swojej organizacji, dla innych ludzi.

Zatem skąd się biorą te wszystkie nieporozumienia związane z trenerem, coachem czy wolontariuszem? Jak zwykle – z niewiedzy. Zachęcam więc: poznawajmy to, co nieznanne. A przynajmniej, błagam: nie chwalmy się wszem i wobec swoją ignorancją!

PS: A propos instruktorów-wolontariuszy: wszystkim składam najserdeczniejsze życzenia z okazji przypadającego 5 grudnia Międzynarodowego Dnia Wolontariusza. To również nasze święto!!!



# Refleksja o pokorze

---

nr 12/2014

---

Zamiast zuchy, harcerze, harcerze starsi, wędrownicy, instruktorzy może wrotki, hulajnogi, motory, samochody i bolidy? Zamiast zastępów, drużyn i hufców może dzielnice, gminy i powiaty? A obozy letnie w maju, bo wtedy ciepło, choć niezbyt upalnie – dobre, nie? Głupoty? Nie dla wszystkich! Ale po kolei...

Od tak wielu lat obserwuję instruktorów na wszystkich szczeblach naszej organizacji, że przywykłem, a właściwie powinienem przywyknąć do tego, że wielu z nich nie potrafi mądrze i odpowiedzialnie objąć nowej funkcji. Jedni powiedzą, że uderzyła im woda sodowa do głowy. Inni, że pewnie poczuli z otrzymaniem nowego sznura nagły przypływ mądrości. Jak by tego nie nazywać, sprawa jest poważna, ale w sumie nie ma się czemu dziwić – takie zachowania są ludzkie.

W ostatnim roku, przy okazji prowadzonych przeze mnie kilku kursów dla instruktorów z całej Polski, przekonałem się, że jest to zjawisko niestety bardzo powszechne i dość... sprawiedliwe. Sprawiedliwe, bo ta mądrość spływająca wraz z nową funkcją obdarza ludzi niezależnie od chorągwi, funkcji i poziomu struktury (problem zaczyna się często już od zastępowego i przybocznego). No może bardziej to przekonanie o wszechwiedzy spływa na młodszych instruktorów – ale to też jest przecież ludzkie.

Tak więc w tym roku już niejednokrotnie z komendantką CSI ZHP rozmawialiśmy o tym, że warto byłoby na kursach kadry kształcącej, komendantów hufców, warsztatach dla KSI – właściwie na wszelkich formach kształceniowych – znaleźć czas na refleksję na temat instruktorskiej i zwykłej, ludzkiej... pokory. Bo chyba właśnie ona – pokora, a właściwie jej brak, jest sednem opisywanego problemu!

Chciałem w tym miejscu zachęcić Czytelników, aby poszukiwanie pokory wobec świata, tego, co dzieje się w naszej organizacji, a nade wszystko wobec siebie i własnych ograniczeń, uczynić postanowieniem noworocznym na nowy 2015 rok. Ale, biorąc pod uwagę statystyki, z których wynika, że po kilkunastu dniach już nic by z tych postanowień nie zostało – nie warto. Może zatem popracujemy nad naszą instruktorską pokorą przynajmniej do 22 lutego? Choćby tyle!

A, jeszcze jedno, á propos tego, od czego zacząłem. Nie wnikając w szczegóły: pewna nowo wybrana władza jednej z chorągwi postanowiła, że porządki zapisane w statucie czy uchwałach zjazdu ZHP jej nie pasują i będzie używać własnych, a te zapisane rozumieć inaczej, po swojemu. Stąd już tylko krok do wrotek i hulajnogi...

*Ignorancja i arogancja to dwie nierozłączne siostrzyce* – to Giordano Bruno, ku pamięci.

# To już ćwierć wieku!

---

nr 1/2015

---

Od słodkiego bobasa ssącego mleko matki do pełnowymiarowego harcmistrza – mistrza i autorytetu dla wielu młodych ludzi. Od harcerza będącego ostatnią oferumą w zastępie do profesora uniwersytetu, kierującego międzynarodowymi zespołami badawczymi. Od kraju u progu zmiany systemowej do państwa, w którym pojęcia demokracji, wolnego rynku są oczywistością. Od organizacji, która jest niepewna jutra i musi patrzeć na to, czy i co inni chcą z nią i jej zrobić, aż po czasy, gdy może samorządnie i samodzielnie decydować o sobie.

25 lat to czas, kiedy może się naprawdę wiele zmienić. I w życiu pojedynczego człowieka, i dużej organizacji pozarządowej, i całego narodu...

Piszę o tym z oczywistego względu – w tym roku (1 września) „Czuwaj” obchodzić będzie swoje ćwierćwiecze. Również w przypadku naszej gazety te 25 lat było czasem wielu zmian, wielu wydarzeń...

Od strony wydawniczej – przeszliśmy od kilkunastostronicowego czarno-białego dwutygodnika do kilkudziesięciostronicowego pełnokolorowego miesięcznika, ukazującego się także w wersji cyfrowej. Od gazety w wielotysięcznym nakładzie, rozchodzącej się „z urzędu” (czyli za darmo) do wszystkich komend, aż po gazetę w nakładzie niespełna tysiąca egzemplarzy, samofinansującej się przede wszystkim z wpłat prenumeratorów. Te zmiany to znak czasu!

„Czuwaj”, co naturalne, towarzyszył wielu wydarzeniom w najnowszej historii harcerstwa. Oczywiście zmianom z początku lat 90., których zwieńczeniem był powrót do światowych organizacji skautowych, kolejnym zjazdom ZHP, zmianom organizacyjnym i metodycznym w naszej organizacji. Przedstawialiśmy w gazecie kolejne programy i propozycje programowe, byliśmy na zlotach ZHP, zlotach kadry, relacjonowaliśmy

wydarzenia takie, jak akcja „Grosik”, obejmowanie Związku honorowym protektoratem przez kolejnych Prezydentów RP, coroczne przekazywanie Betlejemskiego Światła Pokoju, udział środowisk w ważnych uroczystościach i rocznicach, Biała Służba, a także służba podczas powodzi, katastrofy smoleńskiej. Mieliśmy także swój udział w kreowaniu różnych zmian w Związku dzięki temu, że nasze łamy zawsze były otwarte dla każdego, kto miał coś do powiedzenia i chciał się swoimi myślami podzielić z innymi. Warto też wspomnieć te „luźniejsze” działania, jak choćby pierwszą w ZHP społeczną akcją promocyjną (kto pamięta, jak w statusie komunikatora Gadu-Gadu pisaliśmy „jestem harcerką/harcerzem“?).

Krótko mówiąc: nasze pismo było tam, gdzie działo się coś dla harcerstwa ważnego. Było nierozdzielnie związane przez te 25 lat z historią harcerstwa. Te najważniejsze wydarzenia będziemy w tym roku z pewnością przypominać.

# O czytaniu i pisaniu na próbę

---

nr 2/2015

---

Czy „Czuwaj” ma coś wspólnego z Systemem stopni instruktorskich? Ano ma. Punktów stycznych jest pewnie kilka. Ale przyjrzyjmy się dwóm z nich, które są związane ściśle z próbami na kolejne stopnie.

Po pierwsze – w wymaganiach na stopień przewodnika zapisaliśmy kiedyś, że przyszły instruktor ma korzystać z harcerskiej literatury i prasy. Intencja była oczywista – aby od najmłodszych instruktorskich lat przyzwyczajać kadrę do czytania harcerskich tekstów. Bo dzięki temu można lepiej poczuć i zrozumieć harcerstwo, można znaleźć ciekawe inspiracje, wykraczające poza schematy, nawyki i pomysły własnego środowiska. Z drugiej strony – popyt na literaturę harcerską miał być motywacją dla namiestników, komendantów hufców, aby rozwijać hufcowe biblioteczki.

Oj, różnie w praktyce było z realizacją tego wymagania. Widziałem próby, w których zapisano przeczytanie pięciu numerów „Czuwaj”, „Czarnych stóp”, dwóch numerów „Zuchowych Wieści”, ale też regularne czytanie... „Motywów” (napisanie o tej gazecie to raczej zadanie dla Adama Czetwertyńskiego w jego rubryce „Pół wieku”). Może ktoś narzekać, że to niewiele dało, ale nie oszukujmy się: roczną próbą przewodnikowską nie nauczymy 16-17-latka czytać, jeśli nie ma on takiego nawyku.

Przy okazji ostatnich zmian w Systemie stopni instruktorskich prasę zastąpiliśmy w wymaganiach na przewodnika słowem „media” (podążając za zmieniającym się światem). I tym samym chyba pogrzebaliśmy na zawsze ideę czytania harcerskiej literatury. No bo skoro wystarczy w ramach próby „systematycznie odwiedzać profil ZHP na Facebooku” albo „być na bieżąco z zawartością strony hufcowej”, to czytanie prasy czy książek harcerskich staje się dość niszowym hobby...

Jest jeszcze drugi punkt styczny. Otóż w ramach prób instruktorskich (głównie na phm. i hm.) mamy dzielić się ze Związkiem swoimi doświadczeniami, swoim dorobkiem intelektualnym. Można to zrobić metodą zamieszczania tekstów na stronie internetowej albo produkując własne opracowania, miniporadniczki. Od nas i od wymagań komisji stopni instruktorskich zależy, jaka jest objętość takiego tekstu, jaka jest jego wartość merytoryczna i z jak szerokim gronem kadry ZHP podzielimy się naszymi myślami. Czasem więc teksty lądują na stronie internetowej szczebu czy namiestnictwa (to i tak dobrze). Czasem jednak kończą swój żywot jako kserówka w kilku egzemplarzach w szufladzie i dokumentacji KSI. A szkoda.

Z tym większą radością witamy więc w naszej redakcji teksty pisane w ramach prób – przesyłane nam do publikacji. Zdarza się, że marudzimy, iż na stopień harcymistrza powinny to być raczej dłuższe artykuły merytoryczne, a nie półstronicowe opisy imprez, ale może i z takich tekstów powinniśmy się cieszyć?

# O strategicznym zaufaniu

---

nr 3/2015

---

To już czwarty rok! Właśnie tak – weszliśmy niedawno w czwarty rok obowiązywania Strategii ZHP przyjętej przez XXXVII Zjazd Nadzwyczajny ZHP w dniu 4 grudnia 2011 roku.

Gdy spytać przeciętnego instruktora (choć mam świadomość, że większość jest oczywiście nieprzeciętna), z czym mu się kojarzy ta strategia, to okaże się, że bardzo różnie – w zależności od tego, na jakim poziomie organizacji działa.

Drużynowemu czy szczepowemu często nie kojarzy się z niczym. Owszem, słyszał o strategii, ale jakieś konkrety? Raczej nie, no, może coś więcej o hasła „opcja zero”. Ale instruktor z poziomu hufca wie już więcej. Bo przecież corocznie komenda hufca przyjmuje „plan operacyjny do Strategii ZHP”. W chorągwi wiedza powinna być jeszcze większa. Bo nie dość, że trzeba przyjąć własny „plan operacyjny...”, to jeszcze należy sprawdzić, jak sobie ze swoimi planami poradziły hufce. Tak więc corocznie przyjmujemy plany. O ich realizacji może innym razem...

Ale to się zmieni za sprawą dwóch dokumentów, które za chwilę zaczną obowiązywać w ZHP, a które dotyczą większości z nas. Od 1 kwietnia 2015 r. wchodzi w życie nowa instrukcja HALiZ, a jednocześnie do konsultacji trafił projektu „Instrukcji tworzenia i działania gromad, drużyn, kręgów i klubów specjalnościowych” (instrukcja ma obowiązywać od 1 września br.). Oba te dokumenty są efektem pracy zespołu ds. „opcji zero”.

Pewnie część instruktorów będzie zawiedziona. Wielu bowiem myślało, że napiszemy wszystkie dokumenty od zera, a niektórzy... że w ogóle się ich pozbędziemy (skoro mowa o opcji ZERO).

Część kadry prawdopodobnie miała nadzieję, że najistotniejsza będzie nie mniejsza liczba dokumentów, ale przede wszystkim nowa filozofia ich tworzenia. Po pierwsze – że mniej kwestii będziemy starali się koniecznie uregulować w dokumentach ZHP, pozostawiając większy margines zdrowemu rozsądkowi instruktorów, po drugie – że dokumenty będą przystępniejsze językowo i objętościowo. Tymczasem dostajemy instrukcje kilkudziesięciostronicowe, które z racji swej objętości będą pewnie trudne do przyswojenia dla młodych ludzi zdolnych przeczytać tekst wielkości niedużego postu na FB. Nie będziemy więc mieć kilku instrukcji, tylko jedną, jednak taką, przez którą ciężko będzie przebrnąć, nie mówiąc o jej dokładnym stosowaniu. Tak, to pewnie będzie budziło obawy i utrudni wdrażanie zmian.

Myślę jednak, że dokumenty nie są wcale najważniejsze. Kluczowa jest ta filozofia: że ma być łatwiej dla drużynowego, że władze działają dla dobra swoich instruktorów, że nie trzeba wszystkiego szczegółowo regulować, bo w większości przypadków wystarczy zdać się na zdrowy rozsądek i odpowiedzialność naszej kadry. Wystarczy sobie zaufać.



# Tolerować czy wymagać?

---

nr 4/2015

---

**D**ała mi do myślenia rozmowa, którą ostatnio przeprowadziłem – można by rzec – w związku z trwającą (mam nadzieję we wszystkich środowiskach) ogólnopolską dyskusją na temat Prawa i Przyrzeczenia Harcerskiego i – szerzej (znów mam taką nadzieję) – naszych wartości. Mój rozmówca osią swojej argumentacji uczynił to, że jedną z kluczowych wartości w ZHP jest tolerancja.

Cóż, *repetitio est mater studiorum*. Zatem postanowiłem zrobić sobie powtórkę z naszego statutu. Czytam więc na samym początku: *ZHP jest dobrowolnym stowarzyszeniem otwartym dla wszystkich bez względu na pochodzenie, rasę czy wyznanie*.

Nieco dalej przypominam sobie kolejne ważne sformułowanie: *Podstawą wychowania w ZHP są normy moralne, wywodzące się z uniwersalnych, kulturowych i etycznych wartości chrześcijaństwa. ZHP uznaje prawo każdego członka Związku do osobistego wyboru systemu wartości duchowych*.

Dalej szukam tolerancji. Przechodzę do celów. I jest! Brzmi to tak: *Za główne cele swojego działania ZHP uznaje: (...) upowszechnianie i umacnianie w społeczeństwie przywiązania do wartości: wolności, prawdy, sprawiedliwości, demokracji, samorządności, równouprawnienia, **tolerancji** i przyjaźni...*

Czym jest więc ta tolerancja? Tym razem sięgam po „Słownik języka polskiego” PWN: *uznawanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, czyjegoś postępowania, różniących się od własnych; wyrozumiałość...*

I już zrozumiałem, w czym problem! Zrozumiałem, w jaką pułapkę wpadł mój rozmówca! Tolerancja – tak, tego musimy uczyć. Zwłaszcza w obec-

nym świecie, w którym tak bardzo brakuje otwartości, tak rzadko ludzie starają się zrozumieć sposób myślenia innych, a reakcją na inność jest nie tyle brak zainteresowania czy obojętność, ale nawet agresja.

Czy można jednak mówić o tolerancji organizacji wobec zachowań jej członków niezgodnych z wartościami tej organizacji? Czy organizacja ma zmieniać swe zasady, uginając się pod presją zmieniającego się otoczenia, dostosowując się do tzw. społecznych oczekiwań, czy jednak powinna samodzielnie, świadomie kształtować swoje wartości i wymagać od tych, którzy chcą do niej należeć, aby postępowali zgodnie z nimi?

To jest chyba zasadniczy dylemat w naszej obecnej dyskusji i od odpowiedzi na powyższe pytania zależy, jaką drogę wybierzemy...

# Warto być przyzwoitym

---

nr 5/2015

---

**N**a rozmaitych szkoleniach tak dla instruktorów harcerskich, jak i dla niezwiązanych z ZHP trenerów, często powtarzam, że w stosowaniu metafor czy porównań, w tworzeniu przykładów trzeba jak ognia unikać dwóch tematów: polityki i religii. Dlaczego? Ponieważ nie można tutaj żartować czy tworzyć historii w pełni neutralnych – każda wypowiedź, każde z pozoru niewinne określenie może rozbudzić niezdrowe emocje albo kogoś urazić.

W harcerstwie w kwestiach religijnych postępujemy zwykle z umiarem, taktem. Ale na wypowiedzi o polityce musimy bardzo uważać. To niesamowite – rozpoczęcie mało znaczącej dyskusji o polityce potrafi wzniecić niebywałe emocje, a różnice w poglądach politycznych potrafią poróżnić największych harcerskich przyjaciół. Gorzej – polityka często sprawia, że instruktorzy, nawet pełniący znaczące funkcje, nawet harcmistrzowie, tracą poczucie przyzwoitości, tracą hamulce...

Rozumiem, że każdy z nas ma swoje poglądy polityczne, rozumiem, że dyskusje o polityce (zwłaszcza w takim roku jak ten, gdy mamy podwójne wybory) rozbudzają wiele emocji. Ale czy pamiętamy, że są (bo chyba są!) gdzieś granice?

Granice dla instruktora wyznacza z pewnością powinność dawania wychowankom dobrego osobistego przykładu. Czy więc instruktor powinien w sferze publicznej (choćby na facebooku) wyrażać się obraźliwie o Prezydencie RP? Przecież pisze o naszym Honorowym Protektorze, o byłym instruktorsze harcerskim, pisze o głowie państwa!

W tym momencie – jestem tego pewien, bo to właśnie są te emocje! – część czytelników pomyśli, że taki (tu epitety) prezydent nie zasługuje na szacunek, niektórzy może już wypowiedzieli w myślach albo na głos

pogardliwe określenia, które, niestety, powszechnie mówi się o Prezydencie RP...

Ta reakcja, nawet w myślach, pokazuje drugą granicę, która nam wszystkim w Polsce bardzo się przesunęła – granicę szacunku do innego człowieka, który ma poglądy inne niż my. Bo przecież nie chodzi tu o Prezydenta RP, ale o zwykły szacunek do człowieka – także innego kandydata na prezydenta, każdego posła, ministra czy każdej innej osoby pełniącej funkcje publiczne.

Z trwogą piszę, że dziś to normalne, że można obrażać każdego, niezależnie od wieku, funkcji, dokonań. Ale czy nam – instruktorom – w ten sposób wolno postępować? Czy nie powinniśmy dawać naszym wychowankom osobistego przykładu – pokazując im, na czym polega szacunek dla innych, także dla osób publicznych?

Sądzę, że warto się nad tym zastanowić, bo pojawiła się kolejna granica braku szacunku, pogardy czy już podłości. Oto bowiem w ostatnich godzinach życia profesora Bartoszewskiego członek władz jednej z chorągwi pisze publicznie, używając słów wulgarnych, że życzy mu szybkiej śmierci...

Profesor Bartoszewski powtarzał, że warto być przyzwoitym człowiekiem. Zdecydowanie tak! Warto! Musimy to sobie przypomnieć i musimy uczyć tego naszych wychowanków.

# Stara promocja w realu

---

nr 6/2015

---

**W**padł mi ostatnio w ręce dawno temu wydany przeze mnie poradnik „Jak promować harcerstwo”. Właściwie nie dawno, ale bardzo dawno temu wydany, bo w roku 2000. To już 15 lat!

Te 15 lat to cała epoka w promocji, szczególnie ze względu na rozwój technologiczny, powszechność internetu oraz wynikającą z tego zmianę sposobu funkcjonowania pokolenia 20-30-latków, którzy czasem większość swego życia spędzają w świecie wirtualnym, niejednokrotnie zapominając o tym, co dzieje się realnie...

Efektom tych procesów są również zmiany w podejściu do promocji, także w harcerstwie. Właściwie zazębiają się tu dwa czynniki. Po pierwsze – adresujemy działania promocyjne do ludzi coraz bardziej zatopionych w wirtualnym świecie, a więc oczywiste jest, że one również są z tego wirtualnego świata. Po drugie – w naszej organizacji promocją zajmują się osoby młode (i dobrze!), wychowane w świecie internetowym – pełnym spontanu, hejtu oraz szybkich i krótkich informacji. Naturalne jest więc, że ich promocja jest taka, jaki ich świat.

Czy to jednak wystarczy – czy wystarczy nam promocja w internecie, z pięknymi stronami, grafikami, zdjęciami, profilami w mediach społecznościowych? No, może jeszcze – tym razem w realu – z fajnymi gadżetami? Czy liczy się tylko spontan i fun? Czy – użyjmy tego określenia – stara promocja, ta w świecie realnym, świadoma, planowa jest słusznie zapomniana? A może mimo wszystko, mimo XXI wieku, mediów społecznościowych (itp., itd.), warto pamiętać o niektórych działaniach w świecie rzeczywistym?

Jakieś przykłady? Proszę bardzo:

Która chorągiew zadbała, aby jesienią ubiegłego roku po wyborach samorządowych komendy wysłały gratulacje do nowo wybranych radnych, wójtów, burmistrzów i prezydentów miast?

Czy w którymś hufcu pamiętaliśmy o idei Dnia Myśli Braterskiej, a więc o zbiórce/zarabianiu pieniędzy przekazywanych do WAGGGS na szczytny cel? I mówieniu o tym społeczeństwu?

Kiedy ostatnio zachęcano harcerskie komendy, aby jak najlepiej wykorzystały Międzynarodowy Dzień Wolontariusza (5 grudnia) jako okazję do promowania swoich instruktorów, choćby przez zgłoszenie ich w coraz liczniejszych lokalnych konkursach na „wolontariusza roku”?

W ilu hufcach prowadzono warsztaty mające przygotować drużyny i szczepy do pozyskiwania 1% podatku?

Na ilu kursach lub warsztatach drużynowi i szczepowi dowiedzieli się, w jaki sposób należy przygotować się do spotkania z dyrektorem szkoły, aby efekty rozmowy były dla harcerstwa jak najbardziej korzystne? Na ilu pokazano, jak przygotować materiały o nas do wręczenia na takim spotkaniu?

W którym hufcu po raz ostatni uczono kadre, jak dobrze pod względem treści i formy napisać tradycyjne pismo (tak, jeszcze się takie pisze), jakie zasady grzecznościowe obowiązują?

To co, może jednak jest trochę do zrobienia w harcerskiej promocji w świecie realnym?

# Tak, kurs trzeba przeżyć

---

nr 7-8/2015

---

**H**m. Stefan Mirowski, dla przypomnienia (choć – mam nadzieję – że to zbędne) przewodniczący ZHP w latach 1990-1996, wygłaszał przez wiele lat fascynujące gawędy, które systematycznie ukazywały się drukiem w miesięczniku „Czuwaj”. Wiele z tych gawęd pisał też specjalnie do naszego pisma. Był naszym najsolidniejszym (jak wieść głosi) autorem. Potem, przez złotem zegrzyńskim w 1995 r., wydaliśmy je w formie chyba powszechnie znanego zbiorku „Styl życia”.

Jednym z najbardziej znanych i powtarzanych cytatów hm. S. Mirowskiego jest ten, który dotyczy kształcenia: „Kursu instruktorskiego nie można odbyć, kurs trzeba przeżyć”.

Przy tym nie chodzi o przeżycie w sensie przetrzymać, ująć z życiem. Oczywiście druh Stefan Mirowski i wszyscy powtarzający jego słowa mają na myśli to znaczenie przeżycia, które „Słownik języka polskiego” PWN definiuje w następujący sposób: *doznać silnych emocji w związku z czymś; żywo zareagować na coś; przejąć się czymś, co powstało w świadomości, w wyobraźni.*

A cóż dla nas w Związku, w naszym harcerskim kształceniu oznacza przeżycie? Dlaczego tak często wracamy do tej złotej myśli?

Najczęściej słyszę słowa o przeżyciu kursu podczas rozmaitych szkoleń dla kadry kształcącej – aby uzasadnić czy wzmocnić przekonanie, że harcerskie uczenie musi odbywać się w działaniu. Tylko w działaniu. Autorytet hm. Mirowskiego używany jest więc po to, aby obrzydzić, zdyskredytować styl kształcenia, który sprowadza się do wielogodzinnego siedzenia, najczęściej przy stolikach, biernego słuchania prowadzącego i oglądania prezentacji wyświetlanej na ekranie z rzutnika, ew. pisania markerem na szarym arkuszu papieru. Znamy to?

Oczywiście uznanie takiego kształcenia za harcerskie to byłaby przesada. Należy jednak pamiętać, że kształcenie w ZHP, szczególnie dla kadry powyżej drużynowych (np. namiestników, kształceniowców, komendantów), to nie zabawa z nastolatkami, zatem musimy uwzględnić w nim specyfikę uczenia osób dorosłych. A ta wskazuje, że czasami trzeba używać tak zniechędzonych, „nieharcerskich” form podawczych – w imię naszej skuteczności!

Napisałem o przesadzie. Rzecz w tym, że przesada w drugą stronę też bywa uciążliwa!

Bo naprawdę, aby przeżyć kurs, nie trzeba przez tydzień żyć wyłącznie o chlebie i wodzie, oczywiście bez telefonu komórkowego i dostępu do sieci, przemierzać kilometry przez bagna, czołgać się w błocie itd. Nie trzeba też każdego zajęcia kursowych okraszać tysiącem ozdobników, niespotykanymi formami. Nie trzeba! Bo przeżycie to emocje, to coś, co dzieje się w naszej głowie, co porusza naszą wyobraźnię, uruchamia myślenie w nowym kierunku.

Aby dokonać wstrząsów, zmian w umysłach naszych kursantów nie trzeba wcale ekstremalnych doznań na ciele, bagien, głódówki itd. Wystarczą ludzie – niesamowici uczestnicy kursu i charyzmatyczni liderzy.



# Nie instruktorom h.c.!

---

nr 10-11/2015

---

W ostatnich miesiącach dość intensywnie pracowaliśmy w gronie członków KSI przy GK ZHP oraz szefów chorągwiowych KSI nad propozycjami zmian w Systemie stopni instruktorskich. Większość wypracowanych propozycji nie ma charakteru rewolucyjnego. Czy to dobrze? Czy to znaczy, że system działa dobrze? I tak, i nie.

Tak, ponieważ ze stopniami instruktorskimi generalnie jest dobrze. Wciąż cieszą się prestiżem, wciąż są zdobywane przez dość liczne kolejne pokolenia kadry, a komisje stopni instruktorskich są dobrymi zespołami instruktorskim – z rozmaitych analiz wynika, że najlepiej funkcjonującymi w hufcach i mającymi największe przełożenie na skuteczność pracy z kadrami.

Nie, ponieważ możemy obserwować dość duże zróżnicowanie poziomu prowadzonych prób na wszystkie stopnie. Widać tu zarówno problemy całych środowisk (hufców, chorągwi), które nie mają utrwalonych dobrych praktyk, zasad działania KSI gwarantujących wysoki poziom, jak i pojedynczych instruktorów, którzy niestety chcą iść na skróty – którzy chcą zdobyć stopień łatwiej, szybciej, z pominięciem wymagań, bez wnikania w ideę stopnia i tak dalej.

I właśnie tym przypadkom mają przeciwdziałać zaproponowane zmiany, które (mam nadzieję) zostaną uchwalone w marcu 2016 r. przez Radę Naczelną.

Przykłady? Proszę bardzo: tylko dwa, ale dobitnie pokazujące problem.

Kilka lat temu wpisaliśmy do systemu stopni (konkretnie: do warunków zamknięcia próby pwd.) konieczność ukończenia 15-godzinnego kursu pierwszej pomocy. Intencja wydawała się oczywista: instruktor, któremu

powierzamy dzieciaki, musi posiadać przynajmniej podstawowe umiejętności radzenia sobie w sytuacji zagrożenia ich życia czy zdrowia. A jaka praktyka? Otóż okazuje się, że zdarzają się wcale nie tak rzadkie przypadki załatwiania tego warunku przez kursy... e-learningowe (sic!). Proponujemy więc wpisanie, że chodzi o szkolenie stacjonarne – tak, tak, z poczuciem, że to jednak jest żenujące, iż zmuszeni jesteśmy walczyć z przejawami takiego cwaniactwa...

Inny przykład: ot, taka niby prosta zmiana – że kursy, warsztaty, konferencje, które mają służyć rozwojowi przyszłego podharcmistra czy harcmistra, mają być ukończone, odbyte w trakcie trwania próby. Niby oczywiste? A wcale nie! Okazuje się, że są tacy, którzy stwierdzają, że kiedyś już uczestniczyli w jakimś kursie, byli na konferencji, zatem więcej już nie muszą, a komisja stopni te poprzednie formy kształcenia powinna im uwzględnić jako zrealizowanie wymagań próby. Tylko czy w tych wymaganiach chodzi o odfajkowanie kilku warsztatów i konferencji, czy o stworzenie i utrwalenie w przyszłym harcistrzu nawyku stałego doskonalenia się?

W sumie to przykre, że takimi zmianami musimy uszczelniać system, że wśród harcerskiej kadry mamy do czynienia z przypadkami cwaniactwa, „kreatywnego” spełniania zadań czy propozycjami „otrzymania” stopnia za byłe zasługi. Na szczęście u nas stopnie się zdobywa i nie ma podharcistrzów czy harcistrzów honoris causa! I to się nie zmieni.

# Ramię w ramię z Rzecznikiem!

---

nr 12/2015

---

**K**iedy niedawno podzieliłem się z kilkoma instruktorami informacją, że na ostatniej stronie okładki grudniowego „Czuwaj” zamieścimy plakat najnowszej kampanii społecznej Rzecznika Praw Dziecka, najpierw było wielkie zainteresowanie – o jaką kampanię chodzi? Gdy jednak wyjaśniłem, że chodzi o kampanię „Bicie, czas z tym skończyć!” – dostrzegłem na twarzach moich rozmówców zdziwienie, a z ich oczu czytałem jednoznacznie pytania: po co? co nam do tego?

Nie czekając na zwerbalizowanie tych wątpliwości, dałem do przeczytania na stronie kampanii informację o jej idei. Rzecznik Praw Dziecka Marek Michalak pisze między innymi tak:

*...właściwie wszyscy lub prawie wszyscy dorośli powinni już zdawać sobie sprawę z faktu, że stosowanie przemocy jest niewłaściwe. Nie powinien też budzić wątpliwości fakt, że bicie to akt przemocy. Ten, kto bije – stosuje przemoc i to jest złe. Skoro tak, to jak wyjaśnić fakt, że ponad połowa dorosłych Polaków wciąż dopuszcza czy wręcz aprobuje sytuacje, w której rodzic bije dziecko?*

*Nadal bardzo wielu dorosłych uważa, że dobre lanie to nie koniec świata, a czasem jest wręcz potrzebne, żeby osiągnąć pożądany skutek wychowawczy. Trudno się nie zgodzić z faktem, że stosowanie tzw. klapsów czy innych kar cielesnych w stosunku do dzieci odnosi skutek. Tylko że tym skutkiem są: strach przed rodzicem, obniżona samoocena czy wpojenie przekonania, że silniejszy może bić słabszego. To są tylko niektóre „efekty wychowawcze” bicia.*

Co to ma wspólnego z harcerstwem? Widzę kilka punktów stykających z nami, ale chcę zwrócić uwagę na dwa, moim zdaniem najważniejsze.

Po pierwsze – warto zauważyć, że nie chodzi w tej kampanii o samo bicie. W szczególności nie dopuszczam, że mamy z nim do czynienia w naszej organizacji. I to nawet nie ze względów na penalizację tego zachowania, co po prostu na wysokie kwalifikacje etyczne i pedagogiczne instruktorów oraz świadomość naszej misji wychowawczej. Po prostu bicie nie jest najlepszą, ba, nie jest żadną metodą wychowawczą! Bicie – tutaj rzecz jest chyba jasna. Ale spójrzmy szerzej na poruszany w kampanii RPD problem: w niej chodzi o stosowanie przemocy, wykorzystywanie przewagi fizycznej oraz przewagi wynikającej z zależności pomiędzy dorosłym (rodzicem, nauczycielem, wychowawcą) i dzieckiem – mniejszym, słabszym, bezbronnym. Jak z tym jest w ZHP? Czy wyrosliśmy z ciężkich alarmów plecakowych, karania uciążliwą fizycznie musztrą? Mam nadzieję, że tak, a ewentualne pojedyncze przypadki są traktowane z całą surowością przez komendantów i sądy harcerskie jako patologia.

Po drugie – Rzecznik w cytowanym liście wyraża nadzieję, że prawie wszyscy dorośli mają świadomość, że stosowanie przemocy jest niewłaściwe. Cóż, prawie wszyscy... Poza tym niektórzy rodzice to wiedzą, jednak w praktyce jest dużo gorzej. Uważam więc, że jako organizacja wychowawcza, która stoi na straży praw dziecka, powinniśmy mieć odwagę reagować, gdy zauważamy, że dziecko – nasz zuch lub harcerz – jest bite przez swoich rodziców. Oczywiście wymaga to dojrzałej, starszej kadry, która będzie w partnerskich relacjach z rodzicami. Ale przede wszystkim wymaga to świadomości, że to jest także nasza sprawa, nasz problem, na który musimy reagować!

# Weźcie się za swoje hufce!

---

nr 1/2016

---

Zakończyła się w Związku Harcerstwa Polskiego jesień zjazdowa. Nowo wybrane komendy hufców, mam nadzieję wciąż pełne zapału, przystąpiły do działania i pewnie już odniosły pierwsze sukcesy czy choćby drobne sukcesiki.

Patrzę więc na rozmaite hufce: i te małe – czy sobie radzą, i te duże – jak wykorzystują swój potencjał kadrowy. Patrzę i widzę, że w wielu, bardzo wielu hufcach komendantami są przewodniczki i przewodnicy. Nie, wcale nie zamierzam piętnować tego faktu, odwołując się do przepisów związkowych, raczej skłania mnie to do refleksji, że coś dziwnego dzieje się z kadrą w ZHP.

Mamy przecież w naszej organizacji kilkanaście tysięcy instruktorów. To mnóstwo ludzi! Patrząc na liczby: widać, że samymi harcistrzami moglibyśmy obsadzić komendy wszystkich hufców! A z drugiej strony – komendy w dużej części składają się z przewodników, ba, hufcowymi są przewodnicy, jeszcze większe baaaaa – odnotowaliśmy, że w niektórych hufcach do komendy wybrano osoby niebędące instruktorami (co oczywiście powoduje konieczność odbycia „poprawkowego” zjazdu, gdyż – przypomnę – bez stopnia instruktorskiego może być w komendzie hufca jedynie skarbnik).

Rozumiem sytuację w małych hufcach – w takich, w których instruktorów jest zaledwie kilkunastu. Ale co takiego dzieje się w hufcach kilkusetosobowych, dysponujących nawet kilkudziesięcioma albo ponad stu instruktorami, że wybiera się w nich komendę przewodnikowską, z komendantem też przewodnikiem na czele? Gdzie ci wszyscy instruktorzy się podziali?

Gdzie? Patrę na stronę jednego z takich hufców i już wiem! Ci podharc mistrzowie i harc mistrzowie zasiedli w dość licznej komisji rewizyjnej i w równie licznym sądzie harcerskim hufca. Tak, to wygodne funkcje, bo przecież – jak dobrze pójdzie – będzie trzeba się ruszyć co najwyżej kilka razy podczas czteroletniej kadencji, a w przypadku sądu harcerskiego – być może w ogóle. A codzienną robotę w hufcu niech ciągną młodzi (tak, dzieje się to pod pretekstem dawania miejsca młodszemu pokoleniu).

W poprzednim i w tym numerze „Czuwaj” Jacek Smura apeluje: weźcie się za prowadzenie drużyn! I ma rację, bo Związek drużynami stoi. Ale drużynowi muszą mieć stworzone komfortowe warunki do swojej pracy, muszą na co dzień doświadczać wsparcia, życzliwości, czuć, że usuwa się im wszelkie kłody spod nóg – by mogli skoncentrować się na tym, co najważniejsze: pracy wychowawczej. Od tego jest hufiec, w którym doświadczenia starszej kadry przekazywane są tym młodszymi. W ślad za Jackiem wołam więc, szczególnie do podharc mistrzów i harc mistrzów: weźcie się za budowanie swoich hufców! Podzielcie się swoim harcerskim i instruktorskim mistrzostwem z młodszą kadrą! Przekażcie swoje doświadczenia – te, które sprawiły, że nosicie zielone i czerwone podkładki – tym mniej doświadczonym, aby nie musieli wyważać wielokrotnie otwartych przez was drzwi!

Weźcie się za swoje hufce! Sąd, komisja rewizyjna hufca to za mało!

# Przed nami... też było harcerstwo!

---

nr 2/2016

---

**T**o nie może być przypadek – cztery podobne sytuacje w trzy tygodnie. A może to znak, że już jestem starym grzybem, który zbyt wiele pamięta?

W ciągu kilku tygodni stycznia przekonałem się, jaka jest perspektywa spojrzenia wstecz przez instruktorów naszej organizacji. Nie, nie takich zwykłych, ale ze sznurami, że ho ho – na ważnych funkcjach, realizujących próbę harcmistrzowską lub noszących czerwoną podkładkę pod krzyżem harcerskim.

Najpierw podczas pewnego spotkania instruktorskiego dowiedziałem się, że od dwóch lat wreszcie robi się w Związku zestawienie imprez ogólnopolskich – rajdów, festiwali itp. Taka nowość w organizacji. Ech, szkoda komentować, stali czytelnicy „Czuwaj” pewnie doskonale pamiętają nasze informatory imprez. Ot, pierwszy z brzegu przykład – warto zobaczyć, o czym mowa: [http://www.czuwaj.pl/art\\_glowny/Informator2003-2004.pdf](http://www.czuwaj.pl/art_glowny/Informator2003-2004.pdf) – data w linku już mówi wiele...

Chwilę później rozmawiam z instruktorem realizującym właśnie próbę harcmistrzowską o Muzeum Harcerstwa. Wspominam poprzedniego dyrektora – hm. Andrzeja Borodzika. – Że co, że kto? Sorry, nie słyszałem nazwiska... – słyszę zupełnie szczere wyznanie. Moja mina musiała być bardzo niewyraźna, skoro zaraz dodał: – To pewnie ktoś ważny? No ale ja jestem instruktorem dopiero 5 lat! – co chyba miało brzmieć jak usprawiedliwienie. No tak, jasne, przy patrzeniu całe 5 lat wstecz wiadomo tylko, że naczelniczką zawsze była hm. Małgorzata Sinica, a przewodniczącym hm. Dariusz Supeł. No, wersja dla pamiętliwych: przed nim hm. Adam Massalski... Znać nazwiska wszystkich pięciorga przewodniczących od druha Mirowskiego poczynając. A po co?

I ostatnio: harcmistrzynie mówi o swoich marzeniach, żeby powstała gazeta tylko dla drużynowych, cytuję – uwaga – „w której byłby repertuar dla drużynowych, konspekty, konkretne porady”, bo – jeszcze większa uwaga! – „przecież nigdy w Związku takiej gazety nie było”. No oczywiście, a choćby „Zuchowe Wieści”, „Propozycje” i „Na tropie” to pisemka z XX wieku – czyli czasów II wojny światowej, Piłsudskiego i tych rejonów historycznych...

Jeszcze á propos Wędrowniczej Watry – wymagać, aby było wiadomo, że wędrowników jeszcze na początku tego wieku nazywaliśmy w ZHP harcerzami starszymi – to już przesada, bo oczywiście obecne metodyki są „od zawsze”. PZHS-y (rozwinę może: Polowe Zbiórki Harcerstwa Starszego) – litości, to zamierzchła historia – gdzieś między Szarymi Szeregami i stanem wojennym. No ale żeby twierdzić, że Wędrownicza Watra odbywa się od 4 lat? Ech...

Czy oczekując znajomości tego, co było przed tym, zanim harcmistrz został instruktorem, zanim powstał jego wspianiały zespół – czy naprawdę za dużo wymagam? Za dużo od instruktorów pełniących ważne funkcje i mających tworzyć przyszłość naszej organizacji? Naprawdę za dużo?



# Errare humanum est...

---

nr 3/2016

---

**M**ylić się jest rzeczą ludzką. Choć czasem wydaje się to niemożliwe, czasem trudne do zrozumienia i trudne do zaakceptowania...

Zupełnie niedawno mój błogi redaktorski spokój zakłóciła Ewa Lachiewicz. Słynąca – o czym pisałem już kilka razy na naszych łamach przy okazji czuwajowych jubileuszy – z bystrego oka, niezwyklej skrupulatności i umiejętności wychwycenia błędów tam, gdzie ich być nie powinno – czyli w wydrukowanej już gazecie. Zatem gdy Ewa zakłóciła mój spokój (nie żebym na to narzekał, bo – jak się okazało – bardzo dobrze, że zakłóciła), pomyślałem, że pewnie znalazła podczas czytania któregoś z ostatnich numerów „Czuwaj” jakiś błąd. Może literówkę (trudno, zdarza się w każdej gazecie), może jakiś grubszy błąd językowy (gorzej, choć to też się zdarza najlepszym), albo – o zgrozo – byk ortograficzny (no, to zdarzyć się już nam nie powinno!). Okazało się jednak, że Ewa znalazła tym razem coś jeszcze gorszego – błąd merytoryczny, bardzo poważny błąd.

Zaglądam więc do numeru 10-11/2015. Jest tam artykuł pt. „O pracy komendy hufca”, jest strona 45 i... faktycznie – napisaliśmy: Członek komendy hufca może odejść, zrezygnować, być zwolniony z funkcji, a komendant hufca może powołać w jego miejsce innego instruktora lub w drodze uchwały komendy zmniejszyć liczbę osób w komendzie (między zjazdami nie może zmienić się więcej niż 50% stanu komendy) – na marginesie: celowo drukujemy to słabo widocznym szarym kolorem, aby opublikowane przez nas bzdury się nie utrwaliły!

Ratunku! Jak to możliwe? Przecież wiadomo, że odwołać członka komendy może sama komenda (nie komendant), że w takim przypadku komenda musi niezwłocznie (!) uzupełnić swój skład oraz że tylko zjazd hufca

ma kompetencję do określenia liczebności komendy hufca. Jak więc jest możliwe, że coś takiego napisała autorka – bądź co bądź harcmistrzyni, członkini komisji rewizyjnej chorągwi, a potem że przepuściło to troje kolejnych harcmistrzów, pełniących funkcje także w komendach hufców, w tym niżej podpisany – komendant hufca przez 10 lat?!? No jak to możliwe? Nie wiem, może to kwestia zmęczenia, może skoncentrowania się na redakcji językowej a nie merytorycznej? Nie wiem...

Zatem co w takiej sytuacji – wystarczy przywołać właściwe przepisy (zrobiłem to wyżej), rzucić rutynowy w takich przypadkach tekst o chochliku drukarskim i już mamy sprawę z głowy? No nie! Postanowiłem rozejrzeć się dookoła i dostrzegłem, że jednak w naszym Związku jest sporo przypadków swobodnego stosowania przepisów Statutu ZHP: wybieranie w skład komendy nieinstruktorów (ale nie chodzi o skarbnika), uzupełnianie składu komendy z „niezwłocznością” trwającą miesiące lub lata i inne historie, których lepiej nie podawać... Mówiąc krótko: wcale nie tak rzadko okazuje się, że związkowe przepisy, nawet te rangi statutowej, traktujemy nie na serio. Może to źle świadczy o statucie? Oj nie – to więcej mówi o nas samych.

*...in errore perservare stultum.*

# Fryz, pink i dziary

---

nr 4/2016

---

Ależ mnie Adam niespodziewanie zainspirował, pisząc na poprzedniej stronie o tych fryzjerskich wątkach [chodzi o felieton „O harcerskich włosach i nie tylko”, który znajduje się w tym zbiorze na str. 147 – przyp. GCJ! Poruszył temat ciekawy, który właściwie zawsze mnie intrygował, bo zawsze wskazywał na ogromną różnorodność harcerskich środowisk, ich różne postawy wobec umundurowania oraz stosunek do tradycji – tej kilkunasto- czy kilkudziesięcioletniej i tej (często mocniejszej, patologicznej wręcz) kilkumiesięcznej (oj, o sile tej tradycji też muszę kiedyś napisać!).

Jako początkujący harcerz nauczony zostałem szacunku do munduru. Nie, nie aż takiego, żeby przed jego każdym założeniem czy zdjęciem (oraz ułożeniem w kostkę) stawać na baczność i mu salutować. Ale wiedziałem, że musi być zawsze schludny, czysty, że musi być wszystko idealnie wyhaftowane i przyszyte, że mam mieć odpowiednie spodnie i obuwie.

A jeśli chodzi o wątek fryzjerski – problemu nie miałem, bo włosów długich nie nosiłem. Dziewczyny w znanych mi tych tradycyjnych środowiskach miały gorzej – włosy musiały upiąć, czasem niektórzy nakazywali zdjąć im do munduru kolczyki, bransoletki czy inne dodatki upiększające.

Efektem ubocznym tego tradycjonalizmu było – niestety – pewnego rodzaju poczucie wyższości: my jesteśmy lepiej umundurowani, my lepiej, bo jednolicie wyglądamy, a tamci – makabra, dziwne buty, spodnie w różową kratę – dno, a nie harcerstwo! Wówczas jako zwykły harcerz tego poczucia wyższości nie widziałem. Później, już jako instruktor, zacząłem to dostrzegać z wyraźną przykrością...

Poglądy na umundurowanie zaczęły mi się zmieniać w czasach licealnych – cóż, hormony robią swoje – więc zdecydowanie wolałem druhny, które

miały kolczyki, bransoletki, a także delikatny makijaż podkreślający walory naturalne, a pomalowane paznokcie też mi nie przeszkadzały – zresztą tu wchodził w grę również element praktyczny, bo czyż dziewczyna/kobieta ma zmywać lakier z paznokci, kiedy zakłada mundur?

Dziś widzę, że ta różnorodność w podejściu, co wolno, kiedy występujemy w mundurze, jest chyba jeszcze większa, co jest zapewne efektem zmian kulturowych.

I ciągle z jednej strony mamy środowiska jednolicie umundurowane, w których na przykład nie można do munduru założyć dżinsów tylko bojówki (dziewczyny wiadomo – spódnice), włosy muszą być krótkie (chłopcy) lub spięte (dziewczyny), no i oczywiście nie ma mowy o kolczykach, makijażu i jakichkolwiek elementach prywatnych w kolorze różowym, a dziury to największy obciach – więc najmniejszy nawet tatuaż ma być zakryty.

Na drugim biegunie mamy zwolenników swobodnego podejścia, w którym kompletność i schludność umundurowania dotyczy wyłącznie bluzy, choć ta też może być „nieaktualna” („musztardy” sprzed 20 lat są najlepsze, bo mają walor sentymentalny, poza tym cały czas funkcjonują „olimpijki” – nie wiecie, o co chodzi? – wygooglujcie sobie!), do tego modne różowe klapki – jak najbardziej...

Zdecydowana większość jest gdzieś w środku. I dobrze. Przypomnijmy: chodzi przede wszystkim o to, że swoim wyglądem każdy z nas buduje wizerunek ZHP.

# Braterstwo

---

nr 5/2016

---

Czytałem ostatnio rozmaite publikacje, artykuły sprzed dziesięciu czy kilkunastu lat o relacjach międzyludzkich, a także o języku debaty publicznej. Zaskoczyły mnie. Zaledwie kilkanaście lat, a dokonała się w tej materii tak ogromna zmiana, niestety na gorsze...

Jeszcze dziesięć lat temu funkcjonowało zupełnie serio określenie „język parlamentarny”, wulgaryzmy zaś, owszem, były obecne w życiu publicznym, ale wyjątkowo – głównie dla podkreślenia sytuacji i najczęściej w wykonaniu np. artystów (którym zawsze pozwalano na więcej). A dziś? K... stały się normą, więc nie rażą już, niestety, w wypowiedziach na forach społecznościowych (a więc przecież nie anonimowych), w programach telewizyjnych czy nawet w słowie pisanym (i publikowanym) przez poważnych publicystów. Do języka marginesu społecznego, gdy k... zastępuje przecinek, niby wciąż daleko, ale coraz szybciej zmierzamy w tę stronę.

Jeszcze kilkanaście lat temu oburzenie wzbudzało używanie w polemikach argumentów *ad personam* – starano się w parlamencie, w poważnych telewizyjnych studiach rozmawiać o sprawach. A dziś? Dziś najczęściej i najciekawiej rozmawia się o ludziach. Wystarczy zaprosić dwóch polityków z przeciwnych ugrupowań i wiadomo, że będzie soczyście...

Jeszcze nie tak dawno jako ciekawe (z punktu widzenia językoznawcy) przykłady określił pejoratywnych prof. Bralczyk podawał „aferałowie” czy „oszołomy”. A dziś? Zdrajcy, mordercy, chamy i dużo gorzej – to niestety norma, przrzucanie się takimi określeniami nie robi już na ludziach większego wrażenia.

Dlaczego o tym piszę? Bo uświadomiłem sobie, że mam ten niesamowity komfort, iż pamiętam tamte czasy. Czasy różnienia się, ale jednocześnie

szanowania, mówienia dobitnego, dosadnego, ale bez uciekania się do wulgaryzmów i do określeń naruszających godność innego człowieka.

A nasi harcerze czy młodzi instruktorzy? Dla nich dzisiejszy język i dzisiejszy sposób odnoszenia się do siebie jest niestety czymś najzupełniej naturalnym. Oni wychowali się na mediach społecznościowych, na prostackich memach i bezpardonowym okładaniu się z użyciem najgorszych inwektyw. Oni żyją w świecie, w którym każdy może każdemu powiedzieć wszystko, nie licząc się z uczuciami innego człowieka i ubierając to w najdziwsze słowa. Żyją w świecie, w którym coraz trudniej odróżnić język menela spod budki z piwem od języka profesora, posła czy ministra.

Czy zatem uchwała programowa, w której mowa o nauce dialogu i szacunku mimo różnic, o nawiązywaniu i utrzymywaniu kontaktów z ludźmi oraz sprzeciwianiu się przemocy – czy to nie jest zadanie ponad nasze siły? Czy próbując pokazać naszym wychowankom, jak można i powinno się do siebie odnosić, co to znaczy szacunek dla rozmówcy, dlaczego nie warto szydzić z innego sposobu myślenia – czy w ten sposób nie czynimy ich ułomnymi, nieprzygotowanymi do życia w takim dziwnym, strasznym świecie?

# Wierzę w harcerstwo!

---

nr 5/2016

---

Zasmucił mnie Jacek Smura, harcmistrz, zastępca naczelnika ZHP. Zasmucił mnie swoim tekstem opublikowanym w poprzednim numerze „Czuwaj”...

Niby wszystko jest świetnie, bo właśnie mijają dwa lata od inauguracji programu Lider+ i jest to dobry czas na podsumowanie. A jest co podsumowywać, bo Lider to bez wątpienia sukces – mówią o tym chociażby liczby: liczba uczestników oraz liczba trenerów przygotowanych do prowadzenia szkoleń, ale też poszkoleniowe opinie i oceny. No ale przecież nie tymi sukcesami zasmucił mnie Jacek. Raczej tym, o czym pisze dalej...

A pisze o tym, że jego firma nieodpłatnie włożyła know-how do Lidera+, a także o tym, ile dni przepracował w tym programie, podkreślając, że czynił to jako wolontariusz. A następnie dodaje: „Nie uzyskałem ani nie oczekuję z tego powodu jakichkolwiek korzyści finansowych”.

Dziwne? Niby tak, bo po co na łamach miesięcznika instruktorów harcerskich pisać takie specyficzne wyznania? Przecież idea harcerska, służba, osobisty przykład i tak dalej – to dla nas oczywistość! Nie trzeba więc przekonywać, co nami kieruje, że nie chodzi o pieniądze, że z jednej strony wystarczy nam satysfakcja z dobrze wykonanej instruktorskiej pracy, a z drugiej jej spektakularne efekty.

Zatem po co ten tekst Jacka? Niestety znam odpowiedź na to pytanie, bo rozmawiałem z instruktorami zaangażowanymi w realizację programu Lider+. Otóż są członkowie naszego Związku, ba, instruktorzy w stopniu harcmistrza, którym nie mieści się w głowie, że można pracować dla ZHP za darmo, że można kierować się wyłącznie poczuciem służby, po prostu chęcią wpłynięcia na rozwój organizacji, że można czerpać największą

motywację z kontaktu z innymi instruktorami, którzy dzięki naszemu zaangażowaniu fantastycznie się rozwijają. Ten sposób myślenia, tę motywację rozumieją doskonale prawdziwi harcmistrzowie, rozumieją doskonale autentyczni kształceniowcy.

Zdarzają się jednak tacy instruktorzy, którzy tego nie są w stanie pojąć. Przyznam, że mam z nimi kłopot. Bo jeśli jakiś instruktor, harcmistrz (obojętne, czy noszący granatowy, srebrny, czy skórzany sznur) wątpi w szczerść intencji innego harcmistrza, to co mam o nim pomyśleć? Czy zgodnie z powiedzeniem, że każdy sądzi według siebie, powinienem sądzić, że to odzwierciedlenie jego nieinstruktorskiego sposobu myślenia?

Mam nadzieję, że owo nieinstruktorskie myślenie to margines. Że tekst Jacka jest pierwszy i ostatni. Że więcej nie trzeba będzie nikomu niczego w podobnych sytuacjach tłumaczyć. I tłumaczyć się z normalnego, codziennego pełnienia instruktorskiej służby. Wierzę w czystość intencji członków ZHP. Ja ciągle wierzę w harcerstwo, które daje tysiącom z nas energię do działania, które zachęca do służby. Wierzę w harcerstwo, które z ludźmi czyni cuda!



# Jaka ta nasza aktywność?

---

nr 6/2016

---

Zdradzę troszkę redaktorskiej kuchni... W poprzednim „Czuwaj” (5/2016) temat wiodący numeru związany był z kierunkami programowymi ostatniego zjazdu ZHP. Sześć kierunków – zatem konstrukcja wydawała się prosta: poproszę sześć osób, aby napisały swoje przemyślenia inspirowane tymi sześcioma hasłami. Ja, jak to ja, oczywiście chciałem poprosić o współpracę kilku autorów i dać im wolną rękę, ale właściwie wiedziałem dobrze, o czym chciałym, aby napisali...

Szczególny pomysł przyszedł mi do głowy w związku z kierunkiem „Aktywność społeczna”. A może lepiej będzie, jeśli w tym miejscu przypomnę cały opis tego hasła z uchwały programowej, a brzmi on tak:

*AKTYWNOŚĆ SPOŁECZNA – zespołowe podejmowanie działań (inicjatyw) na rzecz społeczności lokalnej w oparciu o rozpoznanie potrzeb najbliższego środowiska działania gromad i drużyn. Tworzenie projektów mających na celu poprawę jakości funkcjonowania wspólnoty lokalnej.*

Jaki zatem miałem pomysł? Otóż przyszło mi do głowy, że skoro w ostatnich kilku latach tak mocno rozwija się koncepcja budżetów obywatelskich, to z pewnością w wielu miejscach Polski harcerze jako ci obywatele, którzy z definicji są wrażliwi na to, co dzieje się wokół, którzy nie są obojętni, dla których tak ważna jest służba – że oni z pewnością zgłosili mnóstwo ciekawych projektów, ważnych dla ich społeczności lokalnych.

I już oczami wyobraźni widziałem te profesjonalne analizy potrzeb dzieci i młodzieży dokonywane przez harcerskie komendy, widziałem doskonale opracowane projekty, a przede wszystkim efekty tych działań: place zabaw, ścieżki rowerowe, odnowione podwórka, spotkania i warsztaty tematyczne, imprezy plenerowe dla mieszkańców, ścieżki edukacyjne –

wszystko z inicjatywy harcerzy! Zwróciłem się więc na naszym czuwajowym profilu na FB z prośbą o zgłaszanie się środowisk, które skorzystały z instytucji budżetu obywatelskiego, aby przeprowadzić w swoim otoczeniu jakieś projekty.

Zgłosiło się kilkoro instruktorów, którzy napisali projekty, przeszli wszelkie etapy weryfikacyjne, uzyskali w głosowaniu mieszkańców poparcie dla nich i je zrealizowali! Brawo! Niestety żaden z tych projektów nie mógł zostać wykorzystany przeze mnie do artykułu o naszej aktywności społecznej. Dlaczego? Bo nie były to projekty będące odpowiedzią na potrzeby społeczności lokalnej, lecz na własne: remont harcówki, zakup wyposażenia itp.

Szkoda, bo budżet obywatelski to naprawdę świetna okazja, aby zrobić coś pożytecznego dla swojej miejscowości, także aby się pokazać jako organizacja, która dostrzega problemy społeczne, szczególnie dzieci i młodzieży, która rozumie ich potrzeby i jest dobrym rzecznikiem młodych ludzi, która potrafi zjednać sprzymierzeńców i skupić przyjaciół wokół ważnych lokalnie spraw oraz która jest profesjonalna i skuteczna.

Myślę, że budżet obywatelski to także szansa dla nas na świeże, radosne i naprawdę społecznie użyteczne spojrzenie na harcerską służbę. Nie zmarnujmy jej!



# FELIETONY

HARCISTRZYNI  
LUCYNA CZECHOWSKA



# Współczesną młodzież trzeba uczyć asertywności?

---

nr 1/2014

---

**O**dkąd stawiałam w naszej organizacji pierwsze kroki na polu kształcenia, wszystkie zajęcia na temat „Komunikacja” czy „Umiejętności interpersonalne” nieodmiennie musiały poruszyć kwestię asertywności. Mam wrażenie, że 10 lat temu hasło „asertywność” stało się po prostu modne i jego popularność, przynajmniej w harcerskim kształceniu, nie słabnie. Ale czy naprawdę umiejętność powiedzenia „nie” to jest to, czego naszym zastępowym i drużynowym brakuje najbardziej?

Spółczeństwo się zmienia, a najmłodsze pokolenia najszybciej. Kiedy moi rodzice i wychowawcy obawiali się w latach 90-tych, że może nas zalać fala narkomanii, uważali, że nastolatki są bezbronne, bo mimo odróżniania dobra od zła są zbyt potulne, aby temu drugiemu się oprzeć. I zapewne była to prawda – wtedy. Być może jest to także prawdą dla niektórych i dziś. Dominującą tendencją wydaje mi się jednak coś zupełnie innego.

Oglądając współczesną polską młodzież pomiędzy 16 a 24 rokiem życia (zarówno na uczelni, jak i w ZHP), widzę, że jest ona niesłuchanie świadoma własnych praw, śmiała (a niekiedy i bezczelna) w dążeniu do ich egzekwowania oraz odporna na robienie czegoś, na co nie ma ochoty. Jeśli wybiera zło, to zapewne nie z powodu braku społecznej odwagi.

Moim problemem zawsze było odmawianie: jeśli ktokolwiek poprosi mnie o wykonanie jakiegos dodatkowego zadania czy podjęcie się kolejnej funkcji – zawsze się zgadzam (a jeśli nawet uda mi się raz na jakiś czas oprzeć, mimo poważnych powodów odmowy mam wyrzuty sumienia). Myślę, że podobnie postępuje większość moich rówieśników, a już

na pewno instruktorzy starsi stażem zawsze potrafią krótkim „Służba!” podjąć się niejednego uciążliwego obowiązku.

No właśnie „służba”. Żałuję, że nie jest to hasło tak popularne jak „asertywność”, a nawet jak „wolontariat” (choć mówi prawie o tym samym, ale, jak wiemy, „prawie” robi wielką różnicę). Żałuję, że wielu młodych instruktorów podejmuje się wolontariatu, biorąc pod uwagę kryterium atrakcyjności (swoich zainteresowań, dobrego bagażu doświadczeń nadających się do wpisania w CV), pomijając lub nie dowartościowując kryterium potrzeby. Nie chcę być źle zrozumiana – harcerstwo ma dawać satysfakcję i powinno przydawać się w życiu zawodowym, ale to powinny być drugoplanowe korzyści, a nie główne motywacje. Służba powinna być służbą – odpowiedzią serca na czyjąś potrzebę, pracą dla dobra kogoś, nie własnego.

Może więc przygotowując kolejne zajęcia dla młodych liderów zamiast asertywności promujemy empatię? To także całkiem modne słowo, a wydaje mi się, że wszystkim nam żyłoby się lepiej, gdyby po świecie chodziło zdecydowanie więcej osób zdolnych wczuć się w emocje innych niż tych, które stanowczo potrafią odmówić. A czy właśnie świata nie mieliśmy zmieniać na lepsze? Nie redukujemy harcerstwa do szkoły życia i przygotowania na spotkanie z „twardym światem”! „Zmiękczejmy” go raczej, nasze umiejętności i tak nas wybronią, a ktoś inny zdejmie z naszych instruktorskich ramion brzemię wezwania Naczelnego Skauta Świata?

# Jest święto narodowe – powinniśmy stać pod pomnikami?

---

nr 2/2014

---

**H**istoria naszego państwa ukształtowała w Polakach wyjątkową kulturę chlubienia się swoim cierpieniem. Nasze zamiłowanie do martyrologii przejawia się w lekturach, jakie czytamy w szkole (za moich czasów obowiązkowe były np. *Medaliony* oraz *Inny świat*), superprodukcjach, jakie oglądamy (np. *Katyń* czy *Czas honoru*), oraz sposobie obchodzenia najważniejszych świąt narodowych – obowiązkowo w poważnej aurze i przy pomnikach zasłużonych poległych. Przez wiele lat nieodzownym elementem powyższego obrazka byli ślicznie umundurowani harcerze, pełniący honorowe warty i maszerujący równo w „żałobnych” pochodach. A dlaczego? Bo tak być powinno...

Od kilku lat zarówno w naszej organizacji, jak i całej ojczyźnie coś się jednak zmienia. Powoli, acz z coraz większym powodzeniem, przebijają się inne akcenty. Do kin zaproszono nas ostatnio na *Bitwę warszawską* (abstrahując od wartości historycznej dzieła nie da się zaprzeczyć, że opisuje polskie zwycięstwo, a nie honorową porażkę), a z radia popłynął hit „Orzeł może” promujący akcję społeczną pod tym samym tytułem. Z kolei Uchwała 38. Zjazdu ZHP z dnia 8 grudnia 2013 r. w sprawie wzmocnienia działalności programowej drużyn i gromad jako jeden z kierunków programowych na kolejne cztery lata wymieniła: *Radosny patriotyzm – promowanie Polski w świecie, optymizm i wiara we własne możliwości, postawa obywatelska, radosne przeżywanie świąt państwowych, orientowanie się w osiągnięciach Polaków*.

Z całego serca kibicuję powyższym pomysłem, gdyż od dawna ciąży mi wszechobecne w Polsce niezadowolenie i brak szacunku do własnych dokonań. Po usłyszeniu zdania typu „My w Polsce jesteśmy daleko za

Murzynami” nóż mi się w kieszeni otwiera – przecież współczesna Rzeczpospolita jest częścią Pierwszego, a nie Trzeciego świata! Widzę jednak także i inny problem – zagrożenie „wylewania dziecka z kąpielą”. Kiedy wielu instruktorów z werwą nawołuje do nierobienia niczego nieatrakcyjnego tylko dlatego, że „tak powinno się robić”, myślę sobie: dokąd nas to zaprowadzi? Czy naprawdę chcemy przekazać naszym wychowankom, że nic nie muszą, skoro ich to nie bawi? Kto im wtedy wytłumaczy, że codziennie rano trzeba wstać do szkoły/pracy lub mimo zmęczenia odwiedzać po pracy/szkole schorowanych dziadków/rodziców?

Na wszystko w życiu jest czas. Nie bez powodu na Boże Narodzenie z radością dekorujemy choinkę, a we Wszystkich Świętych odwiedzamy w zadumie groby bliskich. Taki sam powinien być nasz patriotyzm. Kiedy obchodzimy rocznicę odzyskania niepodległości, nie bójmy się ją świętować z całą radością i kreatywnością, na jaką nas stać. Kiedy jednak wspominamy rocznicę wybuchu II wojny światowej, nie unikajmy powagi czy nawet przysłowiowego stania pod pomnikami. Nie można iść w przyszłość bez poznania przeszłości, a tym, co budowali Polskę przed nami, należy się szacunek. Po prostu umiejmy zachować we wszystkim umiar i celowość – żaden z naszych harcerzy nie straci na tym, że raz w roku „zaliczy” przydługi apel, jeśli tylko będzie wiedział, dlaczego tak się trzdzi.



# Problemem naszych działań jest brak dbałości o jakość?

---

nr 3/2014

---

**W**iele już harcerskich tekstów powstało na temat wprowadzania jakości oraz walki z filozofią „jakoś to będzie”. Sama niejednokrotnie brałam udział w kampaniach zwalczających bylejakość, bo jako perfekcjonistka i pracoholiczka cenię sobie efekt podejmowanych wysiłków i nie znoszę, kiedy ktoś się nie stara w sprawach, które uważam za ważne. Ostatnio jednak wydaje mi się, że wahadło przesunęło się zbyt daleko w drugą stronę – ze świecą szukać kogoś, kto jest w ZHP z czegoś zadowolony.

I nie jest to tylko kwestia krytykowania władzy i typowo polskiej nieufności wobec niej. Krytykujemy wszystko i wszystkich dookoła (nie odpuszczając także sobie). Uczestnicy imprez programowych na wyścigi wyszukują niedociągnięcia ich organizatorów po to tylko, aby za jakiś czas w innym miejscu samemu, np. w charakterze organizatora formy szkoleniowej, być adresatem turnieju „Poszukiwanie dziury w całym”. Kto choć raz czytał ankiety ewaluacyjne, doskonale wie, o czym piszę...

Bo czy naprawdę warto wpisywać w tę czy inną ankietę, że forma się przedłużyła, bo warsztaty miały się skończyć do 14.00, a skończyły 14.20? Albo czy świat będzie lepszy, jeśli wskażę organizatorowi, że żółty tusz może w niektórych okolicznościach utrudniać czytanie? Choć mówi się, że diabeł tkwi w szczegółach, naprawdę sądzę, że niektóre słusznie zauważone detale można zachować dla siebie i nie burzyć pozytywnego obrazu danego działania. Zastanówmy się, co naprawdę chcemy osiągnąć: jak morze takich drobnych szpilek wpłynie na ich odbiorcę? Może lepiej dać mu morze pozytywnych uwag (i małych, i dużych) i pozwolić na samodzielne wyciągnięcie wniosków z drobnych niedociągnięć?

Czy więc nawołuję do rezygnacji z informacji zwrotnej, czy nie doceniam wagi konstruktywnej krytyki?

Oczywiście: nie! Marzyłabym jednak o bardziej wyważonym świecie, w którym adresaci działań (szczególnie tych liczonych w tygodniach pracy wolontariuszy) w miejsce postawy roszczeniowej umieją zachować się po harcersku – szukać dobra. Metoda „kanapki” nie odnosi się przecież tylko do rozmów przełożonego z podwładnym, powinna obowiązywać tak samo w relacjach podwładnego z przełożonym czy w układzie zależności horyzontalnych.

Św. Franciszek powiedział: *Zacznij od robienia tego, co konieczne; potem zrób to, co możliwe; nagle odkryjesz, że dokonałeś niemożliwego.* Myślę, że nachalne poszukiwanie perfekcji u siebie i innych paradoksalnie nie pomaga nam w robieniu wielkich rzeczy – powodowani strachem przed krytyką wolimy nie podejmować poważnych zadań i ukrywamy się w naszych ciepłych znanych miejscach. Warto sobie uzmysłwić, że projekty przeprowadzone od początku do końca idealnie po prostu nie istnieją, bo jako ludzie popełniamy błędy. Wolałabym jednak zobaczyć w ZHP kolejnych 5 czy 10 projektów przeprowadzonych na 4+ niż żadnych. I chciałabym, aby instruktorzy mogli czuć zadowolenie ze swojej pracy, nie dostając na myśl o czytaniu ankiet ewaluacyjnych palpacji serca.

# Zrobić wszystko, aby tylko nie rozwiązać drużyny?

---

nr 4/2014

---

Nikommu nie życzę, aby został postawiony w sytuacji, w której na jednej szali leży fizyczne przetrwanie drużyny (podstawowej jednostki organizacyjnej ZHP, nie osób jej tworzących), na drugiej zaś prawidłowe funkcjonowanie w niej metody harcerskiej. Zapewne wszyscy się ze mną zgodzą, że nie powinno być w ZHP miejsca na patologie (rozumiane jako rażące naruszenia metody harcerskiej lub/i Prawa Harcerskiego), a jednak są i to wcale nie tak mało. Dlaczego tak się dzieje? Wszystkiemu winna jest filozofia „mniejszego zła”, czyli zła, które wydaje się być mniejszym.

Mam mocne przekonanie, że zdecydowanie najczęściej w roli „mniejszego zła” występuje tytułowe nierozwiązywanie drużyny/gromady (często także szczepu czy hufca), mimo ewidentnego niewypełniania przez nie misji ZHP. Wielu osobom wydaje się to tak dramatycznym scenariuszem, jakby fizyczne przerwanie ciągłości danej struktury oznaczało koniec nie tylko harcerskiego (co też przecież wcale nie musi się zdarzyć), ale w ogóle całego życia osób do niej należących. Oczywiście nie twierdzę, że rozwiązanie jednostki nie jest bolesne – sama musiałam kiedyś podjąć taką decyzję i muszę przyznać, że niewiele innych wydarzeń w moim życiu wycisnęło ze mnie tyle łez. Twierdzę jednak, że w owym czasie trzeba było to zrobić, bo bilans wychowawczych zysków i strat za tym przeważył – moja drużyna była po prostu za mała.

Choć jakość jest ważniejsza niż ilość, czasem brak tej drugiej skutkuje również brakiem tej pierwszej. Dla przykładu, w za małej drużynie nie można pracować systemem małych grup, przez co wytrącamy sobie z ręki jeden z największych atutów metody harcerskiej – sposób na kształto-

wanie w naszych podopiecznych samodzielności i odpowiedzialności. Drużynom wielkości zastępu ciężko prowadzić normalne harcerskie działanie, np. zorganizować samodzielnie biwak, obóz czy akcję zarobkową, a nawet przeprowadzić normalną zbiórkę drużyny – w przypadku nieobecności kilku osób cały jej program staje pod znakiem zapytania. Mikrodrżyny mają problem z podziałem obowiązków w kadrze drużyny, przy braku zastępowych siłą rzeczy większość spraw spada na samego drużynowego. Co więcej, w za małych drużynach dla kamuflażu praktykuje się opłacanie z pieniędzy drużyny składek za „martwe dusze”, co jest nie tylko nielegalne, ale także wysoce nieuczciwe wobec pozostałych jej członków.

Warto więc zadać sobie pytanie: czy warto? Czy jako drużynowy za małej drużyny dają swoim podopiecznym coś więcej niż dwie godziny w tygodniu profesjonalnie animowanego czasu zabawy i nauki? Powyższy problem jest niestety tylko jednym z kilku odstępstw od metody harcerskiej i zasad organizacyjnych określonych w Statucie, jakie powszechnie toleruje się w ZHP. Równie brzemienne w skutkach jest choćby dopuszczanie do pełnienia funkcji drużynowych osób bez odpowiedniego stopnia czy przeszkolenia albo zastępowanie opartego na potrzebach członków programu drużyny harmonogramem okolicznościowych zbiórek. Czy w takich warunkach można naprawdę wychowywać w duchu Prawa Harcerskiego i zgodnie z wzorem opisanym w Podstawach wychowawczych?

# Metodyka harcerska to nie problem – każdy się na niej zna?

---

nr 5/2014

---

Większość z instruktorów ma jakąś specjalizację (najczęściej kilka). Jesteśmy kształceniowcami, zuchowcami, wodniakami, logistykami itd. Jednak bardzo rzadko w tych „etykietach” pojawia się metodyka harcerska, uważana przez wszystkich za podstawę funkcjonowania harcerstwa. Może dlatego, że każdy się z nią spotkał, więc każdy wie, „o co chodzi”. Łatwo wyobrazić sobie instruktora, który nigdy nie był zuchem ani nie prowadził gromady zuchowej lub niewiele miał do czynienia z wędrownikami (których metodyka jest „tworem” dość nowym), wszyscy jednak byliśmy harcerzami, czyż nie? Skoro więc byliśmy (biorąc pod uwagę grupę wiekową) i nadal jesteśmy (biorąc pod uwagę przynależność do Związku Harcerstwa Polskiego), i to przez parę ładnych lat, to na pewno umiemy są nią posługiwać. Czy aby na pewno?

Dopiero praca na poziomie centralnym Związku pokazała mi, jak niewiele osób faktycznie wykorzystuje w pełni metodykę harcerską. Jeszcze mniej jest zaś tych, którzy rozumieją ją na tyle dobrze, aby wytłumaczyć jej specyfikę innym. Wolę nie pytać, ilu drużynowych rozpisuje swoim czwarto- i piątoklasistom „porządne” (złożone z 10-15 zadań) próby na stopień młodzika czy wywiadowcy, zapominając, że harcerze powinni przewidziane dla nich wymagania realizować głównie przez aktywny udział w życiu zastępu i drużyny. Zatrważające jest także, jak wielu drużynowych uważa zadanie zespołowe za synonim każdego działania w grupie, gubiąc jego najbardziej podstawowy sens, czyli współodpowiedzialność harcerza za wspólny efekt. A to wielka różnica, czy owo zadanie wykonamy po prostu razem (czyli w grupie, gdzie odpowiedzialność się rozmywa lub spoczywa wyłącznie na liderze) czy zespołowo (gdzie każdy ma do wykonania swoją część, bez której ostateczny sukces całości nie jest możliwy). Boli

mnie, że na harcerskich zbiórkach tak mało jest gier, szczególnie tych ruchowych na świeżym powietrzu, które wypierane są przez formy pracy właściwsze dla pozostałych grup wiekowych.

I to wszystko dzieje się bezwiednie z bezrefleksyjnym poczuciem, że jest „OK”, że sobie radzę, skoro nikt nie narzeka. Jakże łatwo dać się zwieść właściwemu dla tej grupy wiekowej entuzjazmowi i ufności wobec aurytetytu dorosłych, a nawet własnym wspomnieniom sprzed lat. „Skoro mnie się podobało kiedyś, a teraz im się podoba, to chyba nie ma w tym nic złego?”. Ale taka logika prowadzi donikąd, równie dobrze można zapytać harcerzy, czy chcieliby grać w gry komputerowe przez 10 godzin dziennie lub na każdy posiłek jeść chipsy i lody... Nie bez powodu stworzono harcerski system wychowawczy, a w nim zawarto cztery różne metodyki. Ich wskazania mają pokazywać wychowawcom (drużynowym) oraz ich pomocnikom (zastępowym), by robili to, co dla ich podopiecznych jest dobre, a nie tylko to, co modne i atrakcyjne.

Nie bój się więc zakwestionować swojej wszechwiedzy i odśwież ją, sięgając do lektur. Być może po kolejnym przeczytaniu Podstaw wychowawczych, Systemu stopni harcerskich czy poradnika dla drużynowych harcerskich zauważysz, że jednak niekiedy twoje myślenie i działanie odeszło od źródła i warto do tego źródła powrócić.

# Harcerz nie miesza się do polityki?

---

nr 6/2014

---

**M**uszę przyznać, że sama przez długi czas utożsamiałam apolityczność harcerstwa z niebraniem przez poszczególnych członków ZHP czynnego udziału w polityce. Kojarzyłam politykę przede wszystkim z żądzą władzy, korupcją i wszelkiego rodzaju aferami. Dodatkowo z biegiem lat coraz mniej ugrupowań operujących na polskiej scenie politycznej pozostawało w moich oczach nieskompromitowanymi. Skoro więc wszystko, co polityczne, jest brudne i złe, dobry harcerz, a tym bardziej instruktor, powinien się trzymać od tego z daleka, czyż nie? Nie. Byłam w błędzie.

Wyprowadził mnie z niego przypadkowo poznany na konferencji naukowej radny miasta Opola. W przerwie obrad długo opowiadał nam, na czym polega jego praca: ile wysiłku musi wkładać w to, aby obudzić świadomość obywatelską wśród mieszkańców czy poczucie służby u urzędników swojego miasta. Opowiadał o akcji „Odmień swoje podwórko” (miasto finansowało najlepsze projekty zgłoszone przez mieszkańców, promując przy tym zaangażowanie inicjatorów, gotowych poświęcić swój czas, pracę czy posiadane zasoby dla realizacji wypracowanego pomysłu, a nie tylko wysuwających roszczenia), która odniosła tak duży sukces, że przeszczepiono ją na grunt innych miast (m.in. Poznania). Opowiadał także o walce, jaką stoczył z pracownikami urzędu, którzy w imię wewnętrznych regulaminów działali na szkodę mniej zorientowanych w swoich prawach mieszkańców. We wszystkim, co mówił, widać było autentyczną troskę o tych, którzy obdarzyli go zaufaniem, powiedziałałoby się – widać było misję przez duże M. Kiedy mu to powiedziałam, przyznał bez ogródek, że jest harcerzem (choć nie z ZHP, ale to akurat bez różnicy).

Nie mogę przestać myśleć, ile mniej dobra stałoby się udziałem Opola, gdyby miejsce mojego nowego znajomego w radzie tego miasta zajął ktoś mniej nakierowany na rzetelne zmienianie świata na lepszy. Czy więc naprawdę powinniśmy się trzymać od polityki z daleka? Przecież jesteśmy elitą społeczeństwa. Mamy głęboko zakorzenione wartości, potrafimy patrzeć dalej niż nasze partykularne interesy, posiadamy doświadczenie w pracy z ludźmi i w organizacji dużych przedsięwzięć. Kto jak nie my? Szczególnie na poziomie lokalnym, gdzie relatywnie najwięcej można zrobić, nie wikłając się jednocześnie w ogólnokrajowe spory polityczne (choć oczywiście nie zawsze da się przed nimi uciec).

Polityka niejedno ma oblicze, niemniej w swoim najbardziej podstawowym znaczeniu oznacza zdolność mobilizowania członków zbiorowości do wspólnego wysiłku na rzecz celów społecznych i jako taka nie może być nikomu z nas obojętna. Być może dla części z nas czynny udział w realizacji społecznych celów będzie polegał na sprawowaniu władzy publicznej (lokalnej – regionalnej – krajowej; wykonawczej – legislacyjnej – sądowniczej). Dla wszystkich powinien polegać na korzystaniu z prawa do głosowania, udziału w konsultacjach społecznych, budżecie partycypacyjnym itp. Samo członkostwo w tym czy innym NGO to za mało.

Apolityczność ZHP zabrania mi jako organizacji opowiadania się po stronie konkretnej partii politycznej, nie zabrania tego jednak poszczególnym członkom ZHP. Innymi słowy, to nie zbrodnia posiadać konkretne polityczne przekonania, to brak dojrzałości nie mieć ich w ogóle i brak odpowiedzialności nie próbować swych koncepcji wprowadzać w życie.



# Dobre harcerstwo = atrakcyjne harcerstwo?

---

nr 9/2014

---

Często mówi się, że harcerze głosują nogami. To oczywiście prawda, jeśli zbiórki by im się nie podobały, nie przychodziliby na nie, ale czy to powinno nam wystarczyć? Czy dla spokoju ducha wychowawcy wystarczy świadomość, że „robione przez niego harcerstwo” jest atrakcyjne? Pokutujące wśród ogromnej rzeszy instruktorów ZHP przeświadczenie, że chodzi tylko o to, żeby zbiórki były po prostu fajne, a harcerze, harcerze starsi i wędrownicy przede wszystkim dobrze się bawili, jest mitem o ciężarze gatunkowym grzechu.

Pogoń za tym, co błyszczące, kolorowe i nowoczesne, jest cechą naszych czasów, szczególnie dla tych, co – jak mawiał mój profesor – czasy „ustroju słusznie minionego” znają tylko (jeśli w ogóle) z opowieści. Współczesne harcerstwo siłą rzeczy również wpisuje się w tę tendencję. O ile jednak nie ma nic złego w profesjonalizmie formy naszych działań, o tyle przysłonienie, a nawet zastąpienie nią treści jest już niewybaczalnym wypaczeniem.

Nie bez powodu w misji ZHP nie ma ani jednego słowa o tym, że mamy być najlepszymi animatorami wolnego czasu dzieci i młodzieży na rynku. Celem naszych działań jest i zawsze powinno być wychowanie. Nie dobra zabawa i nawet nie nauka nowych rzeczy, a właśnie wychowanie, czyli wspieranie we wszechstronnym rozwoju i kształtowaniu charakteru. Dlatego na wstępie wyznaczamy cele i zamierzenia, a później dopisujemy do nich konkretne zadania (w przypadku programu pracy) lub przebieg zajęć (w przypadku konspektów zbiórek). Obrazowo mówiąc: najpierw decydujemy, co zamierzamy zjeść, a dopiero później – jak to przyrządzić i na czym podać.

Układając program pracy drużyny na nowy rok harcerski, zastanów się w pierwszej kolejności, czego twoi podopieczni potrzebują, a dopiero w dalszej – jak im to skutecznie i atrakcyjnie zapewnić. Dobrym sposobem może być poprzedzenie planowania pracy rzetelną analizą sytuacji poszczególnych osób i ułożenie/ewaluacja prób na stopnie oraz sprawności indywidualnych. Z dobrze poznanymi potrzebami harcerzy, ujętymi w formie konkretnych zadań, łatwiej będzie twoim zastępowym skomponować z nich poszczególne zbiórki zastępów, a tobie uzupełnić je treściami cennymi dla całej drużyny. Podobną operację warto powtórzyć przy pisaniu konspektów zbiórek. Najpierw przejrzyć zadania z otwartych prób i wybrać współodpowiedzialnych za dane wydarzenie, a następnie określić cele intelektualne (jaką wiedzę należy przy okazji danego tematu przekazać), psychomotoryczne (jakich umiejętności należy przy okazji danego tematu nauczyć) i motywacyjno-emocjonalne (jakie postawy można przy okazji danego tematu wzmocnić).

Czy można to wszystko osiągnąć bez porządnego planu, robiąc „na czuja” to, czego nauczyli nas nasi wychowawcy? Wychować przez zbiór przypadkowych, choćby i najlepszych działań, to tak, jakby się przygotowywać do egzaminu na kucharza, uczęszczając na losowo wybrane lekcje i przerabiając losowo wybrane rozdziały podręczników. Czegoś się człowiek w ten sposób nauczy, ale bez kompleksowego ujęcia traci właściwą perspektywę i nawet to, co rzeczywiście umie, może okazać się zawodne. Jak bowiem na zaliczenie dań mącznych przyrządzić pierogi ze szpinakiem, jeśli się wcześniej pominęło dania z warzyw?

Przed „rozkmianiem” potrzeb każdej powierzonej nam osoby nie ma ucieczki (pomoc zastępowych pomoże nie uczynić tego obowiązku zbyt ciężkim). Najbardziej atrakcyjna forma bez nadającej jej wartości i sens treści będzie tylko zdobionym, ale pustym talerzem. Zaś worek genialnych pomysłów nie zastąpi logicznie ułożonego programu, podobnie jak wrzucenie zawartości lodówki do garnka i zalanie wodą nie uczyni z tych produktów automatycznie smacznej zupy.

# Nabór, czyli sztuka nabierania ludzi?

---

nr 10/2014

---

**W**wakacyjnym numerze „Czuwaj” mogliśmy się zapoznać z wkładką opisującą akcję „Nabór” od A do Z. Spośród wielu cennych rad, jakie zebrała w swoim poradniku hm. Anna Pospieszna z redakcją, mnie najbardziej ujęło zdanie z rozdziału „Co mówić?”: Nie opowiadaj bajek! Nie obiecuj cudów i złotych gór, bo tylko sobie zaszkodzisz. Obietnice bez pokrycia mogą się bardzo szybko obrócić przeciwko tobie, jeśli po pewnym czasie harcerze dostrzegą, że to była zwykła „ściema”. Bo tak z ręką na sercu, ilu z nas potrafi nie ulec pokusie reklamowania harcerstwa?

Nasze społeczeństwo, a szczególnie jego młodsze pokolenia, wielokrotnie nazywa się „obrazkowym”. Według specjalistów od marketingu wszystkie informacje trzeba współcześnie podawać z przewagą grafik i jaskrawych efektów specjalnych oraz minimalną ilością tekstu. Aby przyciągnąć oko potencjalnego harcerza, uciekamy się więc do reklamowych sztuczek – wrzucamy w piękne i kolorowe plakaty zdjęcia ze wspinaczki skałkowej (najlepiej w Kanionie Kolorado), z paintballu (w pełnym rynsztunku, ze wszystkimi gadżetami) czy pokazu profesjonalnego fire show. Tworzymy w ten sposób wrażenie, że przygoda, którą oferujemy, będzie w istocie mieszanką sportów ekstremalnych oraz mocnych doznań. Oczywiście wysiłek fizyczny, przekraczanie własnych barier i silne przeżycia są elementem harcerskiego szlaku, ale nie chciałabym, aby były naszą jedyną wizytówką.

Po pierwsze dlatego, że, jak słusznie zauważyła Ania, w większości naszych drużyn takie aktywności nie są na porządku dziennym, a osoby, które dołączyły do nas po naborze, szybko poczują się po prostu nabrane.

Zdecydowanie lepiej jest pokazać się od najlepszej, ale prawdziwej strony: zamiast fire show – ognisko przy świetle księżyca, zaś zamiast paintballu rozbudowana gra terenowa z elementami podchodów i zdobywania baz. Nie oznacza to, że z takich bardziej „ekstremalnych” form nie powinniśmy w harcerstwie korzystać, ale lepiej kogoś pozytywnie zaskoczyć, wyciągając w odpowiednim momencie asa z rękawa, niż rozczarować brakiem gruszek na wierzbie.

Po drugie dlatego, że ludzie dostosowują się do naszych oczekiwań względem nich. Jeśli założymy, że idee służby i braterstwa się „nie sprzedadzą” i przyciągamy do naszych szeregów tylko namiastką naszej „oferty”, nie pozwalamy naszym potencjalnym harcerzom wzbić się do gwiazd. To tak jak w opowieści o wilku w owczej skórze – im dłużej wilk ją nosi, tym bardziej zaczyna się z nią identyfikować, łagodzi swoją naturę. Tak samo jest z dzieckiem. Jeśli powiemy mu, że widzimy je jako kogoś wartościowego, zdolnego dać innym coś z siebie oraz pokonać swoje słabości, za wszelką cenę będzie się starało żyć tak, aby temu wyobrażeniu sprostać. Dlatego niebagatelne znaczenie ma to, jakie wyzwania przed naszymi podopiecznymi postawimy: czy tylko te związane z powierzchownymi doznaniem, czy dotykające samej głębi ich charakteru.

Warto więc już od pierwszego kontaktu pokazywać to, o co nam naprawdę chodzi: stawanie się coraz lepszymi ludźmi, aktywność w grupie rówieśniczej, zawieranie przyjaźni, kontakt z przyrodą, aktywne zmienianie świata wokół nas. Kto wie, może nie doceniamy naszego społeczeństwa i takie hasła trafią na podatniejszy grunt niż propozycja kolejnej formy animacji wolnego czasu...

# Kocham, więc się opiekuję?

---

nr 11/2014

---

**O**dkąd jestem młodą mamą (moja córka ma aktualnie niecałe dwa i pół roku, syn kończy niebawem rok), rozumiem, jak łatwo wpaść w pułapkę nadopiekuńczości. Tok myślenia jest, wydawałoby się, naturalny: skoro tę małą i bezbronną istotkę kocham, to powinnam sprawić, że jej życie będzie usłane różami – wszystko, w tym moja opieka, musi być najwyższej jakości. A najwyższa jakość jedzenia, zabawy, ochrony przed zimnem czy higieny osobistej oznacza w praktyce maksimum zaangażowania rodzica i minimum zaangażowania dziecka. O ile w przypadku noworodka jest to sytuacja normalna i pożądana, tak z wiekiem (i nie mam tu na myśli dekad, raczej lata lub miesiące) ten stosunek powinien się zmieniać. Powinien, a jednak często wskazówka trochę od niechcenia, a trochę w imię źle pojmowanej miłości, za nic się poruszyć nie chce... A co to wszystko ma wspólnego z harcerstwem? Wiele, bo syndrom „kwoki” spotkać można także w odniesieniu do harcerskich podopiecznych.

Jak go zdiagnozować? Zadaj sobie kilka pytań. Jak często zdarza ci się myśleć, że wiesz lepiej, czego potrzebują twoi harcerze, niż oni sami? Może, układając program pracy drużyny czy gromady, robisz to samodzielnie, bez pytania o zdanie samych zainteresowanych czy ich zastępowych (w myśl idei, że oni mają tyle innych ważnych obowiązków, że w tym wysiłku umysłowym możesz ich odciążyć)... Jak często zdarza ci się wyręczać podopiecznych, kiedy ci nawalą lub zanim to zrobią? Może mimo przekazania im określonych zadań lub stałych obowiązków nieustannie ich instruujesz lub kontrolujesz (bojąc się o skutki, jakie porażka wywrze na ich delikatnej psychice, nie pozwalasz im popełnić błędu)... Albo zawsze w ostatnim momencie jak „superbohater” wkraczasz do akcji i ratujesz raczkujące wykonanie świetnym finiszem (w myśl zasady, że najważniejszy jest efekt, bo na niego czekają nasi wychowankowie). Jak często w ogóle nie dzielisz się pracą z innymi? Może wychodzisz

z założenia, że to ty jesteś instruktorem, więc jesteś „od pracy”, a oni są „od zabawy”...

Spotkałam się ostatnio z mądrym stwierdzeniem, że w decyzji ważniejsze od tego, jaka ona będzie, jest to, jak zostanie podjęta. Z wszelką „pracą” w ZHP jest tak samo. Nie chodzi przecież o to, żeby hufcowy festiwal, jaki robicie ze szczerpem, był tak olśniewający jak profesjonalny koncert z biletami za 50 złotych, tylko o to, co się w ramach jego przygotowania pozytywnego zadzieje w twoich harcerzach i waszych odbiorcach.

Nauczenie samodzielności kogoś, na kim nam zależy, jest chyba jedną z najtrudniejszych lekcji dla samego rodzica/wychowawcy. Trzeba nie lada samoopanowania, aby nie krzyżeć co chwile: „Nie dotykaj!”, „Uważaj!” albo „Ja to zrobię!”, nie ma jednak innej drogi. Jeśli nie pozwolisz dziecku wejść na drabinkę, a nawet z niej spaść, nie będzie rozumiało, co to jest wysokość i z czym się to wiąże. Jeśli zawsze będziesz sama karmiła swoją pociechę, będzie ona co prawda zdecydowanie bardziej czysta, ale jej dłonie nie będą miały okazji wykształcić przeznaczonej dla nich sprawności motorycznej. Tak samo jest z naszymi harcerzami (szczególnie w wieku starszoharcerskim i wędrowniczym) – muszą mieć szansę na samodzielność, bez niej nie ma ani prawdziwej odpowiedzialności, ani oddania sprawie, ani satysfakcji z efektów.

Kwoka nawet orła wychowa na kurę – szkoda by było, gdybyśmy nie nauczyli naszych podopiecznych latać.

# Jeden projekt > jeden człowiek?

---

nr 12/2014

---

**C**o waży więcej: jeden projekt (często dotykający swym zasięgiem kilkunastu, kilkudziesięciu, a nawet kilkuset osób) czy jeden człowiek? Czy można poświęcić tego drugiego w imię ważnego zadania, realizującego najwznioślejszą na ziemi misję? Pewnie wielu z nas po pewnym namyśle odpowie: nie, cel nie uświęca środków, a jednak nawet my – instruktorzy wielokrotnie postępujemy wręcz odwrotnie.

Gdzie zaczyna się poświęcanie drugiego człowieka na ołtarzu ważnego projektu? Czy możemy mówić o nim tylko wtedy, jeśli w wyniku naszych decyzji ktoś straci życie lub zdrowie? A może należy sięgnąć do bardziej subtelnych rewirów: więzi społecznych, zrównoważonego rozwoju czy wiary we własne siły? Spowiadając się tylko z „grzechów głównych”, szybko możemy ulec ułudzie, że jesteśmy w porządku, a tymczasem diabeł tkwi w szczegółach. Występując w roli szefów, jesteśmy winni naszym podwładnym o wiele więcej.

ZHP to nie świetnie prosperująca korporacja o powszechnie rozpoznawalnej marce. Rotacja na funkcjach i odpływ kadry do innych NGO nie powinny być naszym sposobem na wysoką efektywność. Nieetyczne jest wyciskanie z naszych „pracowników” całej pozytywnej motywacji do działania i czasu, a następnie bezpardonowe wymienianie ich „na nowszy model”.

Ile razy zdarza się, że komuś pełnemu werwy i wiary powierzamy stałą czy czasową funkcję, a po tym, jak przyjdą pierwsze rozczarowania brakiem namacalnych efektów czy ewidentnymi potknięciami, szukamy po prostu innego człowieka? Ile razy w ogóle pomijamy udzielanie cząstko-

wej i końcowej informacji zwrotnej, przekazując zainteresowanemu tylko jedną podprogową wiadomość „zawiodłeś, nie nadajesz się, wyrzucam cię na śmietnik”?

ZHP to nie sekta wymagająca porzucenia wszystkiego i wszystkich na rzecz bóstwa. Nie możemy wymuszać ani pochwalać sytuacji, w których instruktorzy na rzecz służby harcerskiej rażąco zaniedbują inne sfery życia. Nieskończone lub niepodjęte studia, stracona praca, rozbite związki, pretensje ze strony dzieci czy rodziców naszych instruktorów to koronne dowody naszej wielkiej winy. Z reguły pracujemy w gronie kilku lub kilkunastu współpracowników, rzetelne zebranie informacji odnośnie ich sytuacji zawodowo-życiowej nie jest więc wysiłkiem ponad miarę i powinno poprzedzić powierzenie każdego większego zadania. Nie można kierować się przeświadczeniem, że instruktor sam odmówi, jeśli nie będzie w stanie czegoś zrobić. Jeśli jesteśmy naprawdę dobrymi szefami, to nasi podwładni będą bali się nas zawieść i choćby po to, aby uzyskać nasze uznanie, poświęcą się. Wiele lat zajęło mi wykucie powyższych myśli. Nabranie dystansu do pracy, jaką wykonuję na rzecz ZHP, rodzące przeświadczenie, że dobro moje i osób, z którymi pracuję, jest najważniejsze, pozwala mi paradoksalnie zrobić zdecydowanie więcej dla innych.

Jestem też niesamowicie wdzięczna mojej aktualnej harcerskiej szefowej – hm. Emilii Kulczyk-Prus za to, że nie zapomina nigdy o tym, że jestem człowiekiem. Pozwala mi koordynować te projekty, które naprawdę czuję i rozumiem, w związku z czym przez większą część ostatnich dwóch lat miałam wrażenie, że robię coś, bo tego chcę, a nie dlatego, że zostałam do tego zmuszona. Płonę, ale nie spalam się i nawet jeśli oznacza to jeden projekt w roku mniej, to jest to komfort nie do przecenienia.



# Nie robimy już nic pożytecznego?

---

nr 1/2015

---

Często słyszy się, że współczesna młodzież jest nastawiona tylko na własne korzyści i wygodę. Takie opinie dotyczą także naszych harcerzy. Czasami sama ubolewam nad tym, że dla wielu z nas harcerstwo jest bardziej szkołą życia – nauką stawiania i realizowania ambitnych celów oraz zbieraniem cennych doświadczeń w pracy w grupie i zarządzaniu projektami – niż służbą Bogu, Ojczyźnie i bliźniemu.

Służba to przecież jedna z naszych zasad harcerskiego wychowania – czy rzeczywiście w harcerstwie o niej zapomnieliśmy?

Ostatnio miałam okazję przekonać się, że wcale nie jest tak źle. Przekonałam się o tym, oceniając raporty, jakie spłynęły do nas w związku z pilotażową edycją Turnieju Zastępów. Najbardziej ujęła mnie realizacja wędrowniczego zadania „Razem łatwiej”, którego główną intencją było otwarcie harcerskich środowisk na inne instytucje i organizacje o podobnych nam celach (<http://turniej.zhp.pl/zadania/razem-latwiej/>). Spodziewałam się przeczytać o jednorazowych akcjach przeprowadzonych przy współpracy z partnerem z zewnątrz. Zastęp zastępowych z jednej z drużyn harcerskich Hufca Jarosław (Chorągiew Podkarpacka) poszedł jednak o wiele dalej. Po nawiązaniu współpracy z domem dziecka zaangażował się długofalowo i niebanalnie: założył z wychowanków placówki męski zastęp. Mimo potencjalnych problemów wychowawczych, na jakie mogli napotkać, podjęli się realizowania misji ZHP w jeden z najpiękniejszych sposobów, jaki mogą sobie wyobrazić.

Czy więc rzeczywiście naszych harcerzy nie stać na szlachetność? A może sami redukujemy ich możliwości wprowadzania w życie idei służby, obniżając swoje oczekiwania?

Za każdym razem, kiedy decydujemy, że atrakcyjność programu nie może iść w parze z jego społeczną użytecznością, wypaczamy idee ZHP. Zawsze, kiedy pozwalamy na realizowanie prób harcerskich i instruktorskich bez wychodzenia do świata zewnętrznego, okradamy naszych podopiecznych z szansy kształtowania bardzo ważnych cech ich charakterów. Nie wystarczy kontestować otaczającego nas świata, to, jak on wygląda, zależy także od nas!

# Czy instruktor to ma być cyborg?

---

nr 2/2015

---

**M**uszę przyznać, że opublikowany niedawno w „Na Tropie” artykuł Mdruhny Marty Tittenbrun „Rób to dobrze albo spadaj” poruszył mnie do żywego. W przyływie emocji postanowiłam go nawet skomentować, co nieczęsto mi się zdarza. Teraz, kiedy minęło już trochę czasu, naszała mnie nieco głębsza refleksja: dlaczego w tak ważnej sprawie, jaką jest praca z kadrą, widzimy tylko dwa skrajne bieguny? Nie ma ludzi absolutnie dobrych (zawsze niezawodnych, punktualnych, perfekcyjnych...) i absolutnie złych (zawsze niesłownych, nieterminowych, niedbałych...), każdy z nas porusza się na osi pomiędzy tymi przeciwstawnymi postawami. Sztuką nie jest odróżnienie ziaren od plew, sąd ostateczny zostawiłabym Komuś dalece bardziej nieomylnemu... Sztuką jest taka praca z każdą osobą, aby pomóc jej przesunąć się w kierunku pożądanego bieguna, pamiętając przy tym, że naszą misją wcale nie jest masowa produkcja cyborgów.

Mam wrażenie, że transformacja systemowa i „powrót do Europy” wytworzyły w Polakach fetyszizm perfekcjonizmu. Na początku lat 90-tych wszystko, co nasze, wydawało się zacofane i dziadowskie, zaś to, co zachodnie – lśniące, nowoczesne i niezawodne. Dlatego w niejednej sferze życia dokonaliśmy przysłowiowego „wylania dziecka z kąpielą”. W pogoni za tym, aby była jakość, straciliśmy chyba właściwą perspektywę. Miarą dobrej imprezy harcerskiej, zamiast możliwych do zaobserwowania efektów wychowawczych u poszczególnych harcerzy, uczyniliśmy rozmach (liczbę uczestników, zróżnicowanie oferty), splendor (doniesienia medialne) i perfekcję organizacji (terminowość wykonania, dopracowanie szczegółów). Ja jednak jestem sobie w stanie wyobrazić wychowawczy wpływ rajdu, na którym identyfikatory nie zostały zalaminowane, a apel

odbył się z 15-minutowym opóźnieniem. Zdecydowanie trudniej pojąć mi zaś logikę osiągania w instruktorskim gronie sukcesu z mottem „Nie muszą was lubić, ważne, aby było zrobione dobrze”. Czy perfekcja to jedyne kryterium oceny instruktora? A co z empatią, pomysłowością, uczciwością itd.?

Kształtowanie charakteru to proces wielowątkowy – kiedy sprowadza się go tylko do walki z wadami, można człowieka trwale okaleczyć. Z jakim przesłaniem trafia w świat nasz były harcerski współpracownik, któremu powiedzieliśmy „nie wywiązałeś się – to spadaj!”. Ilu z nas po tak twardej lądowaniu znalazłoby w sobie siłę, aby dalej się starać? Tylko nielicznych porażki umacniają i wyzwalają potrzebę udowodnienia światu, że się co do nich pomylił. Zdecydowana większość z nas nie naprawia raz podciętych skrzydeł, latamy zatem coraz niżej, aż w końcu nie latamy już wcale.

Gdybym mogła wybrać na swojego przewodnika po dorosłym świecie pomiędzy bezbłędnym i bezdusznym cyborgiem a serdeczną ciocią, która bez względu na wszystko zawsze zaparzy herbatę i nakarmi ciastem, wolałabym to drugie. Na szczęście wcale nie musimy wybierać ani zmuszać do tego naszych współpracowników. Tak naprawdę nie istnieje zero-jedynkowy wybór pomiędzy tolerowaniem bylejakości a skreślaniami za każde przewinienie. Mądry instruktor nie robi ani jednego, ani drugiego – mówi, w czym ktoś nawalił, ale pozostawia przestrzeń na naprawienie błędu, nigdy nie krytykuje osoby, a tylko jej zachowanie, nigdy nie łamie nadłamaną trzciny.

# (Nie) chodzi o walkę z wadami?

---

nr 3/2015

---

Wydaje mi się, że bardzo wiele osób wpada w pułapkę zawiedzionych oczekiwań własnych. Ponieważ generalnie człowiek początku XXI wieku staje przed zdecydowanie większą ilością oczekiwań niż jego dziadowie (o dalszych przodkach nawet nie wspomnę), siłą rzeczy wielu z nich po prostu nie jest w stanie im sprostać. Sukcesów i talentów wymaga się współcześnie prawie od urodzenia, a z biegiem lat nakładane ciężary niemiłosiernie się kumulują. Nawet ci z nas, których rodzice nie przelali na swoje pociechy własnych niespełnionych ambicji, zdążyli przez te kilkanaście (kilkadziesiąt) lat nazbierać całkiem pokaźną kolekcję nieosiągniętych cnót i niewyrugowanych wad.

Moim zdaniem jednak Przyrzeczenie Harcerskie wcale nie wzywa w pierwszej kolejności do wytężonej walki z tymi drugimi. Mamy zostawić po sobie świat lepszym, niż go zastaliśmy, niemniej dobro wcale nie wynika z braku ułomności. Dobro płynie z miłości, jest rezygnowaniem z siebie na rzecz innych.

Czy w takim razie wzywam do „dania na luz” i beztróskiego pobłażania swoim złym skłonnościom? Oczywiście nie, chodzi mi raczej o zaakceptowanie siebie takim, jakim się jest. Doba każdego z nas ma tylko 24 godziny, dzień po dniu stajemy więc przed powtarzającym się dylematem, na co poświęcić swój czas i energię. Wydaje mi się, że zdecydowanie lepiej jest przeznaczyć go na ważne altruistyczne czyny niż na mozolną walkę z niedoskonałościami charakteru.

Nie umiem sobie wyobrazić takiej wady (poza tymi z seriali o psychopatycznych seryjnych mordercach), która całkowicie przekreślałaby w czło-

wieku możliwość zrobienia czegoś dobrego. Zamiast więc dręczyć się z powodu własnych ograniczeń, warto opracować plan niwelowania ich wpływu na nasze życie. Jeśli ktoś wie, że ma prawdziwy problem z niepunktualnością, niech nie podejmuje się pracy na kolei. A ktoś, komu niewysłowioną trudność sprawia zachowanie spokoju ducha w obliczu ludzkiej głupoty i chamstwa, niech nawet nie rozważa zatrudniania się na recepcji w przychodni zdrowia.

Trzeba zmienić optykę widzenia siebie i zamiast tropieniem wad, zająć się wynajdywaniem i pielęgnowaniem zalet. Zamiast powtarzać sobie, jak mocno zawaliliśmy, lepiej skupić się na swoich mocnych stronach i działać! Gdyby w harcerstwie mieli pozostać sami ludzie bez wad, szybko stracilibyśmy jako ZHP status największej organizacji wychowawczej w Polsce.

Nie musisz być idealny, aby przyczynić się do zmiany na lepsze. Musisz tylko znaleźć swoją niszę i z sercem się jej oddać.

# Fizyczna obecność surowo nakazana?

---

nr 4/2015

---

Zdarzyła mi się ostatnio niemiła niespodzianka. W XXI wieku, kiedy informacje i idee okrążają cały świat w zaledwie kilka sekund, a rozmowę z kimś bliskim znajdującym się po drugiej stronie globu bez trudu można odbyć za darmo, odmówiono mi uczestnictwa w posiedzeniu KSI poprzez skype.

Zaskoczenie walczy we mnie z oburzeniem: czy na serio, aby asystować instruktorowi z innej chorągwi w otwarciu próby na stopień harcmistrza, muszę wziąć dwa dni urlopu i spędzić w pociągu prawie osiem godzin (w jedną stronę!)? Co takiego uda się osiągnąć w ciągu maksymalnie półgodzinnego spotkania z członkami komisji stopni instruktorskich, czego nie da się zrobić przez odbywającą się na żywo wideokonferencję?

Kilka dobrych lat zasiadałam w hufcowej komisji stopni instruktorskich, kilkakrotnie też otwierałam lub wspierałam otwieranie stopni w chorągwiowej KSI i szczerze powiedziawszy nie pamiętam sytuacji, w której zadano opiekunowi więcej niż jedno-dwa pytania, zwykle kurtuazyjne. Oczywiście mogę sobie wyobrazić sytuację, kiedy już na etapie otwierania próby niezbędna jest dłuższa konsultacja z opiekunem, nadal jednak nie uważam, że nie można takiej rozmowy przeprowadzić przez telefon lub skype.

Sądzę, że członkowie KSI, którzy mojej niedoszłej podopiecznej stanowczo odmówili, w ogóle nie zadali sobie powyższych pytań. Biorąc pod uwagę, że swój brak zgody oparli na wewnętrznym regulaminie i, cytując: „pewnych zasadach”, zapewne dali się złapać w pułapkę formalizmu i tradycjonalizmu, czyli naturalnych przeciwników dobrej woli i indywidual-

nego traktowania każdego z nas. Jestem przekonana, że gdyby choć jedna z tych osób zadała sobie pytanie: co jest najlepsze dla zainteresowanej instruktorki – odpowiedź byłaby inna.

Nie jestem przeciwniczką regulacji, sama brałam udział w opracowywaniu sporej ilości „papierów” – zarówno w hufcu, jak i na poziomie centralnym. Zawsze jednak uważałam, że instrukcje, standardy, regulaminy, konstytucje itp. są dla nas, a nie my dla nich. Ich rolą nie jest zapobieganie „przestępczości” wśród harcerzy, czyli wszelkiego rodzaju kręctwu i wynikającym z chodzenia na skróty głupstwom. Ich rolą jest wskazywanie najlepszej możliwej drogi do osiągnięcia zamierzonego efektu, czyli niezależnie od poziomu struktury: wypełniania misji ZHP.

Nie tracę nadziei, że wspomniane przeze mnie gremium zmieni zdanie. Chcę wierzyć, że jako instruktorzy ZHP w stopniu harcmistrza nie zasiadają w tej KSI przez przypadek i na sercu leży im rozwój każdej osoby, która się do nich zwróci, w tym harcerki, której miałam być opiekunką.

Każdy z nas raz na jakiś czas wpada w te same sidła. Podejmujemy decyzje dotyczące innych, biorąc pod uwagę paragrafy i zwyczaje, a nie dobro danyh osób. Każdemu z was i sobie samej życzę, aby takich przypadków było w naszym postępowaniu jak najmniej.



# Szef jako magnes dla dobrych instruktorów?

---

nr 5/2015

---

**I**dę o zakład, że na tak postawione pytanie większość z nas automatycznie odpowie: – Tak! – Umiejętność pozyskiwania i utrzymywania wokół siebie kompetentnych i rzetelnych współpracowników jest bez wątpienia kluczowa z punktu widzenia danego zespołu, jak i całego ZHP. Nic więc dziwnego, że od początku naszej instruktorskiej przygody uczymy się, jak dostrzec w innych potencjał i co robić, aby praca właśnie w naszym zespole stała się dla nich priorytetem. Bo konkurencja nie śpi. O czas naszych wybrańców rywalizujemy z ich szkołą/pracą, życiem rodzinnym i towarzyskim, a także społecznym – wszak ZHP nie jest jedyną organizacją pozarządową o szczytnych ideałach i ambitnych projektach. Co więcej, mniej lub bardziej świadomie konkurujemy także wewnątrz organizacji, szczególnie o osoby, których doświadczenie poświadcza czerwona podkładka i pełnione wcześniej (lub/i nadal) funkcje. Szef-magnes, dzięki którego charyzmie ludzie garną się do danego zespołu, jest więc na wagę złota, ale czy na pewno?

Każdy kij ma dwa końce – osoba, którą przyciągniemy do wspólnych działań, siłą rzeczy zrezygnuje lub zaniedba inne. Wielu z nas zachowuje się tak, jakby nie chciała zobaczyć świata w szerszej perspektywie: koncentruje się na środkach, zamiast na celach harcerskiego działania. Oczywiście, wchodząc w rolę szefa, powinniśmy dbać o właściwy dobór kadry i atmosferę panującą w grupie. Nikt z nas jednak nie zobowiązywał się do „uczynienia podległego sobie zespołu perłą w koronie ZHP”. Obiecaliśmy być instruktorami całego Związku, a nie jego wybranej części. Jak mówi popularne hasło: działając lokalnie, powinniśmy myśleć globalnie.

Po pierwsze, na swoje harcerskie zadania warto patrzeć z punktu widzenia całej organizacji, a nie tylko tego wycinka, którym się obecnie zajmujemy. Nie zawsze wciąganie wszystkich wybijających się instruktorów do własnego zespołu będzie powodem do dumy. Jeśli ceną za nasz sukces jest porażka innego newralgicznego zespołu w naszym hufcu czy chorągwi, to mówiąc wprost: jest to raczej powód do rzetelnego rachunku sumienia.

Po drugie, nawet jeśli sami wyłapaliśmy wyjątkowe jednostki i nauczyliśmy je wszystkiego, co dziś potrafią, nie posiadamy ich na własność. Tak jak rolą rodzica jest przygotowanie dziecka do samodzielnego wyjścia w świat, tak rolą instruktora jest dzielenie się swoją wiedzą i doświadczeniem bez oczekiwania, choćby zawołanego, że dzięki temu zwiążemy tę osobę z nami. Choć przyjaźnie są nieodłącznym elementem harcerskiego życia i z reguły wspierają naszą misję, niosą także ryzyko „kółek wzajemnej adoracji”, które z prawdziwą instruktorską robotą nie mają za dużo wspólnego.

Po trzecie, aby para nie poszła w gwizdek, nie możemy zapominać, że celem jest wychowanie. Tworzenie rozbudowanych struktur wspierających w rodzaju kilkunastoosobowych zespołów promocji czy pozyskiwanie namiestników kosztem przedwczesnego przekazania przez nich własnych jednostek to droga do nikąd. Obowiązująca Strategia rozwoju ZHP jasno stawia w centrum naszego zainteresowania drużynę/gromadę i osobę drużynowego.

Jeśli to, co zamierzasz zrobić, nie przełoży się wprost na podniesienie jakości pracy wychowawczej drużyn – nie rób tego, a tym bardziej nie pociągaj za sobą innych. Szef zespołu instruktorskiego to nie head-hunter, u nas wszyscy gramy do jednej bramki.

# Rzetelnie znaczy krytycznie?

---

nr 6/2015

---

Zdarzyło mi się ostatnio otrzymać ocenę za pracę, jaką wykonywałam przez prawie cały ubiegły rok. Ocena co prawda nie była skierowana bezpośrednio do mnie, gdyż oceniany był projekt, nie zaś uczestniczące w nim osoby, niemniej za każdym przedsięwzięciem stoją przecież konkretni ludzie i nawet jeśli się ich wprost nie wymieni, to właśnie ich działania są oceniane. Dlaczego o tym piszę? Gdyż dawno już jedno pojedyncze zdanie tak mnie nie zdemotyowało.

Jak się zapewne domyślicie, nie było to zdanie: „Dobra robota!”. Nie było to także zdanie zawierające inwektywy. Był to profesjonalnie (konkretnie, informacyjnie) sformułowany komunikat, wskazujący jeden aspekt danej pracy, który można było nazwać niepowodzeniem (a ściślej mówiąc element, który jeszcze nie został zrealizowany). Cały rok pracy wielu osób został sprowadzony do jednego zdania o negatywnym wydźwięku. Opałam z sił.

Czy oczekiwałam samych pozytywów? Nie, zawsze coś można zrobić lepiej, ale udało się nam w ramach tego długofalowego projektu w pocie czoła zrealizować lub zainaugurować kilka dużych przedsięwzięć, więc ta ocena mnie zaszokowała. Poczucie niesprawiedliwości było na tyle duże, że postanowiłam u źródła zapytać, dlaczego nasze działanie zostało w taki a nie inny sposób skomentowane. Było to dobre posunięcie. Poznałam motywy i metodologię oceniania i nie ma już we mnie żalu do zespołu ocenającego. Oni także, jak ja przez ten ubiegły rok, starali się wykonać swoje obowiązki jak najlepiej. Nie ma jednak we mnie zgody na taktykę, jaką obrali.

Powiedziano mi, parafrazując: „Chcieliśmy to zrobić rzetelnie, zerojedynkowo, bez rozmytych sądów opartych na czymkolwiek widzimisię, przy-

jęliśmy konkretne kryteria i nie rozpisywaliśmy się” i dodano jeszcze „To nie tak, że nie widzimy na tym polu żadnych pozytywów”. Reasumując: projekt, w którym jeden punkt został oceniony negatywnie, uzyskał finałne notę zero. I gdzie w tym jest rzetelność?!

Jednym z ważnych elementów mojej pracy zawodowej jest ocenianie. Wiem, że ciężko w tej materii o sprawiedliwość, bo czasem mam podświadomą ochotę podwyższyć wynik studentom, którzy zaskarbili sobie moją sympatię, innym razem wręcz odwrotnie. Dlatego wiem, że jakieś kryteria trzeba przyjąć i starać się ich nie naginać. W żaden sposób nie powinno to jednak redukować informacji zwrotnej. Zdecydowanie najłatwiej jest wypisać tylko błędy/porażki/niedociągnięcia, które zaważyły na naszej opinii. Choć to lepsze niż suchy stopień, nie jest to jeszcze rzetelne podejście do sprawy. Naprawdę czyste sumienie mam dopiero wtedy, kiedy powiem danej osobie zarówno o dobrych stronach jej pracy (nawet jeśli było ich niewiele), jak i skrupulatnie opiszę i uzasadnię negatywy.

Wymaga to nieraz sporego wysiłku i niemało czasu, jednak staram się w takich sytuacjach „nie oszczędzać papieru”. Czy po to, aby osoby ocenianej nie zdemotywowować? To tylko jeden z plusów porządnej informacji zwrotnej. Najważniejszy polega na umożliwieniu uczenia się w działaniu, które ostatecznie przekłada się na efekty pracy. Wbrew ludowemu porzekadłu nie uczymy się tylko na błędach.

Ten, kto często przebywa w otoczeniu małych dzieci, wie, że zdecydowanie silniejszym bodźcem od „A nie mówiłam, że spadniesz?!” jest „Świetnie to zrobiłaś, bravo!”. Prawda ta sprawdza się także w przypadku dorosłych, więc „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe”.

# Błogosławieni miłosierni

---

nr 10-11/2015

---

Zacznę od tego, że jestem osobą wierzącą. Czytając dalej, godzicie się więc podążyć za określonym tokiem myślenia. Ci z was, którzy jak ja należą do wspólnoty kościoła katolickiego, na pewno wiedzą, że powyższy tytuł zaczerpnęłam z hymnu Światowych Dni Młodzieży, które odbędą się w Polsce latem 2016 r. Mam nadzieję, że podążą również za mną w refleksji, że wspomniane motto jest dowodem na to, iż nic nie dzieje się przypadkiem, a Opatrzność wyprzedza nas na naszej drodze, stawiając konkretne wyzwania i zostawiając odpowiednie wskazówki.

Z pewnością nie tylko mnie ubiegłe miesiące upłynęły pod znakiem dyskusji, jak Polska i Polacy powinni się zachować wobec problemu syryjskich uchodźców. Dość zdumiona spostrzegłam, że nie tylko wiele osób nie odróżnia imigranta zarobkowego od uchodźcy, ale także ilu moich rodaków autentycznie obawia się innowierców, w tym wypadku wyznawców islamu. Tym smutniejsze było moje odkrycie, że wśród osób jawnie nawołujących do zamykania naszych granic i serc dominują osoby równie jawnie przyznające się do wiary katolickiej. Nie mieści mi się w głowie, jak chrześcijanie mogą nawoływać do obojętności, a nawet aktów przemocy wobec potrzebujących, i to w imię trwania przy naszych szczytnych wartościach. Czy bowiem nie uczono nas, głodnych nakarmić a nagich przyodziać?

Czasy, w których wezwanie to było sformułowane, nie były wcale łatwiejsze od naszych. Żydzi zamieszkiwali okupowaną przez Rzymian Palestynę, cierpiąc niedostatki, otoczeni cudzoziemcami i innowiercami. Z pewnością nie było im lekko oprzeć się niechęci, a nawet nienawiści wobec obcych. Skąd więc w nas – ludziach globalnej Północy – przekonanie, że nas to nie dotyczy? Że pomagać mamy tylko polskim, białym, katolickim rodzinom i to najlepiej tak, aby nas to nie zabolalo – tylko ak-

cyjnie, niewielką kwotą, bez emocjonalnego zaangażowania. Oczywiście i w naszym kraju jest wiele osób, które potrzebują wsparcia. Nie twierdę, że fala uchodźców z Bliskiego Wschodu jest ważniejsza niż polscy repatrianci z Kazachstanu czy Polacy uciekający ze wschodniej Ukrainy. I tu, i tu są ludzie w potrzebie. Parafrazując Ewangelię: jedno trzeba zrobić, a drugiego nie pomijać. Strach przed muzułmanami, z których część dała się światu poznać jako terroryści lub/i radykalni obrońcy szariatatu, nie usprawiedliwia naszego braku miłosierdzia.

Strach ten nie wziął się jednak z powietrza i nie powinien być bagatelizowany. Lęk jest naturalną reakcją na coś nieznanego. Pomoc osobom w potrzebie nie musi iść w parze z lekkomyślnością. Ufam, że państwo polskie ma wolę i środki do tego, aby faktyczną ochronę uzyskały tylko te osoby, które spełniają kryteria przewidziane w prawie międzynarodowym. Jestem przekonana, że można być miłosiernym bez bycia naiwnym. Wymaga to jednak ciągłej pracy nad swoimi lękami i niechęcią z jednej strony oraz nad skutecznymi mechanizmami pomocy z drugiej. Jeśli chcemy być nowoczesnym narodem, zakorzenionym w rodzimych wartościach, nie możemy w obliczu problemów chować głowy w piasek.

Im szybciej wszyscy (bez względu na obraną stronę barykady) zaprzęgniemy swoje umysły do pracy nad optymalnymi rozwiązaniami, tym szybciej dokonamy zmiany na lepsze – odpowiemy na wezwanie zawarte w testamencie Naczelnego Skauta Świata. Kryzys syryjski i tak nas pośrednio dosięgnie – lepiej, aby się to stało na naszych warunkach.

# Brakuje tak niewiele, a może tylko jednego: serdeczności

---

nr 12/2015

---

**W** naszym harcerskim świątku uwielbiamy narzekać. Często słyszę, że powinniśmy wydać walkę bylejakości w ZHP, aby „była jakość, a nie było jakoś”. Tymczasem w mojej ocenie to nie profesjonalizmu w naszych harcerskich zadaniach brakuje. Wystarczy popracować choć kilka razy zawodowo w gronie nieinstruktorskim, aby zobaczyć, jak mocno odróżniamy się od reszty społeczeństwa terminowością, zaradnością czy merytoryką wykonania. W pogoni za skutecznością zgubiliśmy jednak coś równie cennego – naszą serdeczność.

Każdy świadomy uczestnik relacji społecznych wie, że problem można przedstawić na dwa główne sposoby. Można wyrzucić z siebie prosto z mostu to, co nam leży na wątrobie lub, wkładając w nasz przekaz nieco więcej wysiłku, opakować nasze przesłanie w „zjadliwą” otoczkę. Wybór jednej z powyższych opcji determinowany jest naszym stosunkiem do odbiorcy i celem, jaki nam przyświeca. Jeśli chcemy tylko dać ujście naszym złym emocjom – formułujemy pretensje i narzekamy, jeśli chcemy wyłącznie pokazać komuś naszą wyższość – pouczamy i wypunktowujemy błędy, natomiast jeśli chcemy autentycznie dokonać zmiany w kimś lub czymś – formułujemy informację zwrotną. Nie ulegamy złudzeniu własnej poprawności – ostra krytyka pozbawiona wyrozumiałości i zakładająca wprost czyjeś złe intencje nie tylko nie spełnia kryteriów informacji zwrotnej, jest także zachowaniem niegodnym instruktora ZHP.

Zdarzyła mi się ostatnio taka sytuacja: od czerwca do września nie miałam dostępu do adresu mailowego: [turnieje@zhp.pl](mailto:turnieje@zhp.pl). Powód był techniczny – nie zadziałało przekierowanie, jakie ustawiłam na swój osobisty adres, a w rezultacie kilkanaście maili bez mojej wiedzy pozostało bez odpowie-

dzi przez kilka miesięcy. Kiedy usterkę zauważyłam, postawiłam sobie za punkt honoru odpisać każdej osobie, która na tym ucierpiała. Nie będę się rozwodzić nad rozmiarem pretensji, jakie w stosunku do mnie skierowano – słowach o braku szacunku, demotywowaniu, a nawet oszukiwaniu (sic!) dzieci zaangażowanych w turniej... Chciałabym się skupić na postawie ówkiego Szymona Ruczki, którego mail opisujący między innymi niedociągnięcia w naszym przedsięwzięciu, sformułowany został serdecznie.

Zastanawiam się, ile kosztowało druha Szymona dopisanie kilku słów o tym, że rozumie, iż pilotaż siłą rzeczy ma testować pewne rozwiązania i że pomimo potknięć docenia naszą ciężką pracę. Treść, jaką w swojej korespondencji zawarł, pamiętam do dziś i z chęcią pracujemy w wydziale nad wdrożeniem jego postulatów. Okazane zrozumienie i pozytywne gesty po prostu procentują. Chyba każdy z nas woli być motywowany marchewką niż kijem. Nie ignoruję żadnego słowa krytyki bez względu na to, czy jest ono sformułowane w ankiecie po imprezie, na FB pod informacją o jednym z WIP-owych przedsięwzięć, oficjalnej korespondencji czy kularowych rozmowach. Nikomu chyba nie muszę jednak tłumaczyć, dlaczego z większą ochotą staram się wprowadzić w życie dobre rady niż przekaz kryjący się za bezpardonową krytyką, a nawet oskarżeniami. Także dlatego, że często za narzekaniem i oskarżeniami nie idzie żaden konkretny postulat – nic poza złymi emocjami.

Jeśli więc widzisz coś, co odbiega od ideału i mówisz o tym na głos, zastanów się dwa razy, co Tobą powoduje. Czy jak na harcerza przystało chcesz zmieniać świat na lepszy? Wytykanie błędów bliźnim jest taktyką równie starą, co nieskuteczną...



# Po co płacimy do WOSM i WAGGGS te wysokie składki?

---

nr 1/2016

---

**K**ilka lat temu sama zadawałam takie pytanie. Nasza organizacja miała zupełnie inną sytuację finansową i w dyskusjach instruktorskich problem zadłużenia wobec światowych organizacji skautowych przewijał się nie raz. Mimo pełnienia w hufcu różnych funkcji nie widziałam wymiernych korzyści z przynależności do WOSM i WAGGGS. Dziś wiem, że to znacznie więcej niż polski kontyngent na Jamboree raz na cztery lata.

W listopadzie ubiegłego roku pojechałam z ramienia ZHP na skautowe seminarium dotyczące jednego z trzech aktualnych programów WOSM – Odznaki Skautów Świata (Scouts of the World Award, SWA). Mogę śmiało powiedzieć, że zostałam urzeczona skautingiem. Nie był to mój pierwszy wypad za granicę i nawet skądinąd piękny Paryż nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jak czas spędzony ze skautami reprezentującymi dosłownie każdą rasę, kontynent i prawie każdą religię świata.

Nasza jedność w różnorodności była oszałamiająca. Mimo oczywistych różnic łączyła nas wciąż żywa idea zapoczątkowana przez lorda Baden-Powella ponad wiek temu. Służba, praca nad sobą i braterstwo były tak samo ważne dla każdego z nas. Co więcej, oddaleni niekiedy nawet o tysiące kilometrów tak samo zbieramy się przy ogniu, pracujemy systemem małych grup i uczymy w działaniu.

Niezwykłe pociągający okazał się również sam program SWA. Jednocześnie prosty i głęboki, ujmuje w sobie samą istotę skautingu: zmienianie świata na lepsze. Dzięki temu, że w seminarium uczestniczyły zarówno organizacje z państw, które już wdrożyły u siebie program, jak i te, które dopiero się do tego przymierzają, mogliśmy zobaczyć, jak jego potencjał

wykorzystali inni. Zawstydziałam się, słysząc o budowaniu szkoły w Kazachstanie przez ekipę z Luksemburga, corocznej akcji ratowania żółwi morskich przez skautów z Singapuru czy o realnych pracach przy konserwacji zabytków, w jakich biorą udział skauci w Egipcie. Czy harcerstwo może poszczycić się tak spektakularnymi projektami? SWA daje szansę młodym ludziom pomiędzy 15 a 26 rokiem życia na podjęcie niebagatelnego wyzwania na rzecz pokoju, rozwoju lub środowiska naturalnego. Mam nadzieję, że już w tym roku uda się zorganizować w Polsce pierwsze Odkrycie SWA i uwolnić pokłady dobra i aktywności, jakie w nas drzemą.

Seminarium było dla mnie także okazją, aby zobaczyć funkcjonowanie WOSM jako organizacji. Poznałam zarażonych ideą skautową ludzi, którzy w biurach regionalnych organizacji przygotowują, koordynują i ewaluują programy, starając się uczynić skautowe wysiłki zauważalną zmianą świata. Ich praca jest najlepszym przykładem obywatelstwa skautów: myślenia globalnie i działania lokalnie.

Nie wyobrażam sobie, że mogłoby nas w tej rodzinie zabraknąć. Jak zauważają Wytyczne programowe Odznaki Skautów Świata: *Żadne programy edukacyjne skupiające się tylko na narodowej historii i kulturze nie umożliwią przygotowania młodzieży do odgrywania aktywnej roli w coraz bardziej współzależnym świecie. Programy edukacyjne oparte na konkurencji i indywidualizmie nie będą w stanie przygotować młodzieży do współdziałania potrzebnego do rozwiązywania problemów globalnych. Skauting powinien dawać młodzieży narzędzia do kompleksowego zmierzenia się z wszystkimi tymi wyzwaniami.* Wytyczne można już znaleźć w CBP: <http://cbp.zhp.pl/propozycje/wytyczne-programowe-odznaki-skautow-swiata/>.

# My lollipop power

---

nr 2/2016

---

**P**odczas międzynarodowego seminarium na temat Odznaki Skautów Świata niesamowicie energetyzująca instruktorka WOSM – Cynthia Marquez pokazała nam rozmowę TED, dzięki której poznałam tzw. *lollipop power* (siłę lizaka). Wszystkim, którzy jeszcze nie mieli okazji oglądać tego nagrania, polecam: <https://youtu.be/HR2UnsOuKxo> – Drew Dudley, „Everyday Leadership”. To przepiękna historia o tym, jak pozornie nic nieznaczący akt serdeczności może skierować życie drugiej osoby na zupełnie inne tory i że w każdym z nas drzemie niezwykła siła, która może wpłynąć pozytywnie na życie innego człowieka. Coś tak małego, jak lollipop – ten symboliczny lizak podarowany komuś, czasem tylko uśmiech, dobre słowo – może być czymś tak wielkim i ważnym, że spowoduje zmianę jego życia na lepsze.

Zastanawiam się, czy w harcerstwie, w którym tak wiele mówi się o byciu liderem, nie przesadzamy, rezerwując miano lidera tylko dla wyjątkowych osób i ich wybitnych dokonań? Drew Dudley przekonuje, że takie myślenie to droga donikąd i sądzę, że ma sporo racji. Życie składa się przecież z pojedynczych chwil, nikt z nas nie jest przez cały czas dobry, pracowity i uprzejmy albo cały czas zły, leniwy i niegrzeczny. W dążeniu do ideału (które jest tak mocno wpisane w naszą instruktorską ścieżkę) chodzi raczej o umiejętność kumulowania i celebrowania tych wyjątkowych, ważnych dla nas momentów, w których okazaliśmy się liderami, niż o fałszywą skromność lub dojmujący smutek, że wciąż nie zasługujemy na miano prawdziwego przywódcy. Zatem zamiast zadzierać głowy w podziwie dla pomnikowych mistrzów, lepiej dać sobie – zwykłemu Kowalskiemu – kredyt zaufania. Choć ostrzegam: raz zmieniona optyka spowoduje, że więcej pracy zaczną wykonywać nasze ręce oraz, wcześniej tylko kiwające z uznaniem, głowy.

Dlatego też, podążając za przykładem Dudleya, chciałabym się z wami podzielić moim własnym przykładem lollipop power. Może ktoś z was pamięta, że mój pierwszy felieton, jaki ponad trzy lata temu napisałam do „Czuwaj”, nosił tytuł „Harcerstwo to nie „coś” dla żon, matek i... pracownic?”. Pisałam o roku 2012, który był dla mnie przełomowym czasem: urodziłam pierwsze dziecko, obroniłam doktorat i rozpoczęłam pracę na wymarzonej uczelni. Wszystko to, co napawało mnie wówczas niesamowitą radością i poczuciem spełnienia, kosztowało mnie też ogromnie dużo pracy. W tym samym roku podjęłam jedną z największych przygód, jakie mi się w ZHP zdarzyły – zaczęłam tworzyć Wydział Inspiracji i Poradnictwa. Nie jestem feministką, ale wszystko we mnie wtedy i teraz krzychało: musisz się tym podzielić! Więc pisałam i mówiłam każdej instruktorce, która chciała słuchać, że harcerstwo i praca, a przede wszystkim harcerstwo i rodzina nie muszą się wykluczać.

Po prawie czterech latach zabierania ze sobą dzieci na imprezy harcerskie oraz podejmowania – mimo macierzyństwa i pracy zawodowej – kolejnych instruktorskich wyzwań, mogę powiedzieć, że coś dobrego dokonało się nie tylko w moim życiu. Jakiś czas temu niezwykła mama dwóch synków, napisała mi: *Hej, chciałam Ci podziękować. Czasami na Twoim fb znajduję zdjęcia z Twojej harcerskiej przygody, z młodymi. Wydawało mi się, że się nie da. Ale zaryzykowałam, wracam, tworzę gromadę. Gdzieś tam będę działać. Dziękuję za inspirację. Za pokazanie, że się da. :)* No pewnie, że się da! Wystarczy uśmiech, dobre słowo, ten symboliczny liżak...

# Gdzie w ZHP podziały się emocje?

---

nr 4/2016

---

**Z**awsze wierzyłam, że jedną z najważniejszych przewag harcerstwa nad innymi pożytecznymi stowarzyszeniami czy organizacjami zrzeszającymi młodzież jest wszechstronność naszego oddziaływania. Klub sportowy być może lepiej zadba o tężyznę fizyczną, wspólnota modlitewna o wrastanie ducha, a koła naukowe o przyrost szarych komórek, ale każda z tych alternatyw dotyka tylko jednej płaszczyzny rozwoju człowieka, a my wszystkich pięciu. Ale czy na pewno?

W ramach projektu „Programator” Wydział Inspiracji i Poradnictwa konstruuje narzędzie wspierające drużynowego w procesie analizowania potrzeb jego podopiecznych w ramach budowania programu pracy jednostki. Myślą przewodnią projektu jest dążenie do tego, aby w procesie planowania kierować się celami wychowawczymi naszej organizacji i usunąć obecność w programach pracy celów organizacyjnych w stylu zakupu koszulek środowiska czy znalezienia harcówki. Wartością dodaną „Programatora” będzie powiązanie udzielonych przez drużynowego odpowiedzi ze wskazówkami, jakimi narzędziami można dany cel osiągnąć. Sztab instruktorów i współpracowników WIP analizuje obecnie instrumenty metodyczne wszystkich metodyk, harcerskie formy pracy, propozycje programowe, poradniki i literaturę harcerską, przyporządkowując je poszczególnym celom wychowawczym ZHP.

Pozytywnym skutkiem ubocznym realizowanego projektu jest możliwość prześledzenia, czy do każdego deklarowanego celu ZHP stworzył zestaw narzędzi. Proces analizy i jej weryfikacji nie dobiegł jeszcze końca, niemniej obraz, jaki wyłania się na podstawie aktualnie obowiązujących instrumentów metodycznych, pokazuje, że nasze oddziaływanie wcale nie

jest tak zrównoważone, jak chciałam wierzyć. Skupiając się tylko na pięcioelementowym rozwoju mogę powiedzieć, że zdecydowanie dowartościowane w naszych instrumentach metodycznych są sfery rozwoju społecznego i umysłowego. Mniej dominujące, ale także zawsze obecne są elementy rozwoju duchowego i fizycznego. Ale gdzie się podział rozwój emocjonalny?

Wśród wymagań na stopnie wprost pojawia się on tylko u harcerzy, którzy mają dzielić się z rodzicami swoimi radościami i niepowodzeniami (ochotniczka) oraz rozmawiać z rodziną o swoich problemach (tropicielka) oraz zuchów, które powinny ważne sprawy gromady i swoje potrafić omówić i załatwić w kręgu rady (zuch sprawny). Zaskakujące jest, że członkom ZHP w okresie dojrzewania (gimnazjum i liceum) nie stawiamy tego typu wyzwań, a przecież wtedy właśnie w wielkiej huśtawce nastrojów kształtuje się dojrzala psychika. W wymaganiach na krokiewki i wędrownicze gwiazdki przejawy troski o rozwój emocjonalny dają się odnaleźć tylko w wezwaniu do zauważenia drugiego człowieka i służby. Możemy założyć, że emocjonalność kształtuje także kontakt z kulturą, a ten pojawia się w serii sprawności artystycznych i znaku służby kultury, niemniej w mojej opinii to za mało.

Brakuje mi jasnego przekazu, że harcerze starsi i wędrownicy powinni rozumieć swoje emocje oraz wyrażać je w sposób dobry dla siebie i otoczenia.

# Niezmienny system wartości?

---

nr 5/2016

---

**B**yć może tak jak i ja widzieliście w sieci niedawno opublikowany przez The Guardian filmik „What has the European Convention on Human Rights ever done for us”? Trafnie pokazuje on, co ludzkim społecznościom daje spisywanie praw i wolności. W moim przypadku wywołał dodatkowo refleksję na temat wagi naszych harcerskich uregulowań, których najważniejszym zbiorem jest oczywiście statut. Wśród wartości, jakie zobowiązujemy się w nim upowszechniać i umacniać w społeczeństwie, znajdują się: wolność, prawda, sprawiedliwość, demokracja, równouprawnienie, samorządność, tolerancja i przyjaźń. Tymczasem wspomniana przeze mnie w ostatnim numerze analiza obowiązujących instrumentów metodycznych pod kątem realizowania przez nie celów ZHP wykazuje, że wyłącznie przyjaźń oraz, w mniejszym stopniu, tolerancja, prawda i demokracja są w zapisach systemu metodycznego realnie obecne. Co stało się z wolnością, sprawiedliwością, samorządnością i równouprawnieniem? Gdzie te idee, wartości znikły? Jak do tego doszło? Co powinniśmy z tym zrobić?

Czy uderzyć się w piersi i nadrobić braki, czy może przestać się oszukiwać i po prostu odchudzić wykaz o te wartości, których w rzeczywistości nie upowszechniamy? W każdym z powyższych przypadków pierwszym krokiem musi być weryfikacja wartości, które jako organizacja stawiamy w centrum zainteresowania.

I tu pojawia się problem, przed którym stanął niejeden instruktor uczestniczący w dyskusji o kształcie Prawa Harcerskiego: na ile niezmienny powinien być nasz wspólny harcerski system wartości? Przecież osobistej wierności wobec przyjętego systemu wartości oczekujemy od każdego członka ZHP. Czy więc jako organizacja możemy tylko replikować to, co wypracowali nasi założyciele? A co z nowymi wartościami (np. zrówno-

ważnym rozwojem czy inkluzyjnym wzrostem), o których w roku 1911 nikomu się nawet nie śniło? Czy aby nie narazić się na zarzuty o oportunizm, powinniśmy puścić mimo uszu ponad stulecie rozwoju ludzkości? A co z wartościami, które jeszcze 50 lat temu wydawały nam się najświętszymi marzeniami (np. wolność polityczna, samorządność), a dziś są najwykleszą normą? Myślę, że choć samorządność (podobnie jak wspomniana w filmie wolność od niewolnictwa) nie straciła dziś na swojej doniosłości, to dość bezpiecznie można uznać, że w wielu miejscach na ziemi (w tym w Polsce) straciła status palącego problemu.

System wartości, aby prawdziwie mógł stanowić drogowskaz codziennego postępowania, musi dotyczyć współczesności. Oczywiście nie oznacza to, że nie ma wartości ponadczasowych (dla mnie taką wartością jest np. życie czy dobro), ale nawet one w różnych epokach miały różny wymiar praktyczny. Rolą harcerstwa jest wychodzenie naprzeciw aktualnym wyzwaniom, dlatego w mojej opinii możemy dokonywać rewizji w hierarchii wyznawanych i promowanych przez nas wartości bez uszczerbku dla wierności Przyrzeczeniu Harcerskiemu i misji ZHP. Mając za podstawę społeczną użyteczność, musimy jej dokonywać nie tylko wobec własnego sumienia, ale także najbardziej aktualnych potrzeb społeczeństwa. W ten sposób możemy nie tyle „przestarzałe” wartości zamienić „modniejszymi”, ile zmienić rozłożenie akcentów, skierować naszą energię tam, gdzie jesteśmy najbardziej potrzebni.



# Zło wymuszonego wyboru

---

nr 6/2016

---

Najpodlejszą manipulacją, jaką od pewnego czasu obserwuję w polskim dyskursie politycznym, jest stwierdzenie, że współczesny Polak każdego dnia musi opowiadać się po jednej ze stron. Jedna ekipa nawołuje do okazania swojej lojalności poprzez udział w marszu A, druga w marszu B, obie zalewają media społecznościowe desperackimi prośbami o udostępnianie tych czy innych treści, jakby od kolejnego lajka miało zależeć nasze życie. A przecież do kolejnych ogólnonarodowych wyborów mamy jeszcze 3,5 roku...

Stan totalnego konfliktu, jaki zafundowała nam polska elita polityczna, ma swoje daleko idące skutki. Polaryzacja społeczeństwa się pogłębia i sięga zdecydowanie dalej niż proste zaznaczenie tego czy innego kandydata na karcie wyborczej. Na naszych oczach zachodzi podział tożsamościowy okradający nas paradoksalnie właśnie z możliwości wyboru. Możesz czuć się albo Polakiem albo Europejczykiem, możesz popierać albo politykę prorodzinną, albo tolerancję dla osób o innej orientacji seksualnej. Pod żadnym pozorem nie możesz wybrać tych opcji krzyżowo, albo co gorsza wszystkich naraz. W ten sposób w zaledwie kilka miesięcy wyczerpaliśmy prawie do cna jedną z najcenniejszych rzeczy, jaka pozwoliła nam przetrwać najgorsze czasy rozbiorów, okupacji i narzuconego komunizmu – wspólną tożsamość, będącą podstawą społecznej solidarności.

Być może ulegam ułudzie jedności narodowej, jaka była naszym udziałem w czasach kryzysu lub nie biorę pod uwagę prostej prawdy, że najmocniej jednoczy wspólny wróg, stąd w czasach pokoju uwidaczniają się inne linie podziału. Niemniej nici społecznego porozumienia trzeba nawiązywać zanim, jak głosi słynna serialowa maksyma, nadejdzie zima. A ona nadchodzi. W zdecydowanej większości polskich mediów świadomość globalnych problemów jest mocno wypaczona lub żadna. Ale zmiany kli-

matyczne, kryzysy migracyjne czy terroryzm są faktem i dotyczą całe społeczności, nie pytając o ich wyborcze preferencje czy system wartości. Nie jesteśmy samotną wyspą, nawet jeśli jeszcze nie doświadczamy lub nie dostrzegamy przejawów tych wyzwań na rodzimej ziemi. Tym bardziej istotne jest, aby zrozumieć, że tylko wspólne wysiłki mogą tu przynieść efekt. Wspólne, czyli nie tylko ogólnonarodowe, ale ogólnoludzkie.

Nie zrozumcie mnie źle – nie nawołuję do politycznej bierności czy braku zdania w sprawach tematów poruszanych w dyskursie publicznym. Nawołuję do przyjęcia właściwej perspektywy i niezapominania, że będąc wyborcami, jesteśmy jednocześnie także mieszkańcami jednej miejscowości, państwa i planety. Nie musimy się ze sobą we wszystkim zgadzać, ale te różnice nie muszą przekładać się na wrogość i demonizowanie drugiego obozu. My jako harcerze powinniśmy pójść jeszcze krok dalej. Powinniśmy aktywnie działać na rzecz budowania mostów, dokonywać codziennej pracy, aby szukać tego, co nas łączy, a nie tego, co dzieli.

Obawiam się, że z każdym tygodniem to zadanie staje się, niestety, coraz trudniejsze...



# FELIETONY

HARCMISTRZ  
ADAM CZETWERTYŃSKI

*Niedawno uświadomiłem sobie, że równo pół wieku temu mój komendant hufca wręczył mi zieloną podkładkę i zaproponował, bym poprowadził zgrupowanie obozów. Pół wieku. Niezły kawał czasu. Nazbierało się przez te lata doświadczeń, wydarzeń... Nie miałem przez pięćdziesiąt lat jednego dnia instruktorskiego urlopu. W cyklu „Pół wieku” poopowiadam o tym, co bawiło mnie, co smuciło, o co walczyłem, co mi się udało a gdzie poniosłem klęskę. Poczytajcie... I oceńcie...*

## Byłem jak lwica

---

nr 4/2014

---

**T**ak, „moja”, wychowana przeze mnie kadra była najważniejsza. Gdy oni popełnili jakiś błąd, ja za ich winy odpowiadałem. Nie ma lekko.

To było trzecie samodzielnie przeze mnie prowadzone zgrupowanie. Ja, jakoś po drugim czy trzecim roku studiów, i moja kadra – świeżo po maturze. Obóz się już kończył, mieliśmy przed sobą ze trzy dni normalnego obozu a potem już rozbijanie urządzeń, wytrząsanie słomy z sienników, rozbieranie kuchni i odstępowanie cegieł zaprzyjaźnionemu rolnikowi. Dużo pracy... Czasami wyłącznie dla pełnoletnich harcerzy.

Tego dnia, a właściwie tej nocy, gdy już zagasiliśmy codzienne ogniska, przyszło do mnie kilku instruktorów pełniących różne funkcje: – Adam, idziemy na podchody – powiedzieli. – Co? Wam, starym bykom, chce się tak bawić? – zapytałem. – Tak – chcemy podejść harcerzy z naszego hufca, mamy do nich ze cztery kilometry, przecież wiesz, gdzie obozuje druhna R. Podejdziemy, zabierzemy flagi i wrócimy przed świtem. – Popatrzyłem na nich. Nie, nie mogłem im zakazać, oni tak bardzo chcieli pobawić się, jakby byli przedszkolakami. Do druhny R. był kawał drogi. Wszystko było OK, tylko dlaczego się nie zdziwiłem (ten brak wyobraźni), że wyszli z obozu w maskach przeciwgazowych?

Spałem jeszcze smacznie, gdy obudziły mnie jakieś głosy. W piżamie odebrałem meldunek: – Zadanie wykonane, druha R. otruta, brama obozu wkopana. – Rzeczywiście, przed moim namiotem stała kopia pomnika spod Grunwaldu, kopia, która jeszcze przed kilkoma godzinami witała gości u druhy R. Bramę widziałem, ale co oni jeszcze powiedzieli? – Tak, struliśmy druha R. świecą dymną na szczury, ale nam się nic nie stało. – Oniemiałem. – Co zrobiliście!?!?!!!

Można sobie wyobrazić, co się dalej działo. Druha R. w szpitalu (z tym otruciem to była przesada, ale świecę dymną moi instruktorzy na terenie obozu zapalili), bramę trzeba było zanieść (a były to solidne żerdki!) i z powrotem wkopać na tym samym miejscu. Włączony do akcji komendant hufca oczywiście polecił mi wyrzucić sprawców niecznych czynów z obozu (komendant podobozu, dwóch oboźnych z dwóch podobozów, kwatermistrz, magazynier... razem sześć czy siedem osób kadry). A za trzy dni zwijamy się!...

Oj, się działo! Winę wziąłem na siebie, choć byłem zupełnie nieświadom, że moja kadra tak narozrabia. Że jest tak nieodpowiedzialna. Nie wyrzuciłem ich, nie mogłem. Nie tylko dlatego, że wyraziłem zgodę na ich podchody. Oni wygłupili się, czy za taką głupotę można na serio karać?

Cóż, konsekwencje mojej decyzji były dla mnie mało sympatyczne, ale to już inna historia. Rok później (w ramach rehabilitacji... ha, ha) znów prowadziłem zgrupowanie. Ale tam już nikt nikogo nie truł i bram obozowych nie przenosił.

Wnioski? Każdy z nas (szczególnie gdy ma 21 lat) popełnia błędy. Ale też nie jest w stanie przewidzieć, co wymyślą jego harcerze. A przecież ową świecę dymną przywieźli z Warszawy. Nie wiedziałem, co zrobią. To chyba największy mój błąd. Bo za słabo znałem swoją kadrę. Jednak słusznie uczyniłem, broniąc ich jak lwica. Bo była to z ich strony, powtórzę, głupota. A awantury, jakie miały miejsce po obozie, i tak dały im w kość. Mnie też. I ja byłem cały czas z nimi.

Dziś pewnie postąpiłbym inaczej. Ale dziś jestem prawie pół wieku starszy.

# Nie krzywdzić dziecka!

---

nr 5/2014

---

**W**spomniałem miesiąc temu o obozie, w czasie którego miałem zrehabilitować się za poprzednie popełnione przeze mnie rok wcześniej błędy. Nie, ten obóz przed rokiem był zdecydowanie lepszy. A przecież byliśmy o rok starsi, bardziej doświadczeni. Może byliśmy zniechęceni do robienia obozu z fantazją? Jednak szczęka mi opadła, gdy druh J. postanowił dość oryginalnie rozruszać mój obóz. Czyżby pomyślał, że jest u nas bardzo smutno?

Ooo, druh J. był ważną osobą. Przed wojną prowadził drużynę, zaraz po wojnie zdobył stopień harcistrza, był jednym z tych, którzy „całym życiem” służyli w naszej organizacji. Miły, zawsze uśmiechnięty, sympatyczny pan w średnim wieku. Od pewnego czasu w hufcowej komisji rewizyjnej i jako członek tej komisji wizytujący obozy.

Bardzo lubiliśmy jego wizytacje. Poprawiał nam zapisy w książce finansowej, gdy coś w niej nie pasowało. Nigdy nie miał nam za złe, gdy w koszmarnych kartotekach magazynowych i zapotrzebowaniach żywnościowych były błędy. Chwalił nas za program, cieszyła go pionierka. Ideał wizytatora... Ceniłem druha J. Ucieszyłem się, gdy nas odwiedził. Ale nie cieszyłem się długo...

Była już noc. Obozy poszły spać, wydawało mi się, druh J. także. Ja jeszcze siedziałem w namiocie kadrowym i rozmawiałem z dwójką instruktorów. Cisza, spokój, jaki bywa w środku lasu z dala od wsi i szosy. Ciepła sierpniowa noc. Dla takich nocy warto wyjechać na obóz. Cisza i nagle słyszę rozdzierający krzyk!!! Wrzask, jakby jakiegoś harcerza obdzierano ze skóry! Krzyk nie kończy się!!! Wybiegamy z namiotu i widzimy biegnącą w naszym kierunku małą istotę, która ciągle krzyczy! Jeszcze chwila a nieprzytomny harcerz wbiegnie do jeziora!!!

Rzuciłem się w jego kierunku i mocno chwyciłem. Chłopak przestał krzyczeć, nieco otrzeźwiał, lecz trząsał się jak galareta. Nie dało się go uspokoić. – Duch, widziałem ducha – powtarzał. Przyszła pielęgniarka, zjawił się komendant podoboju, zaczęliśmy dochodzić, cóż takiego się stało.

Wyjaśnienie było proste.

Druh J. założył pelerynę, wziął latarkę i szedł przez las wprost na wartownika, podświetlając sobie twarz jakimś kolorowym światłem. Szczupła twarz odpowiednio podświetlona wyglądała jak „żywy trup”. I takiego idącego przez las „trupa” mały wartownik śmiertelnie się przestraszył. Gdybym nie wybiegł z namiotu i nie złapał go, na pewno wpadłby do jeziora! Noc miał nieprzespaną, nie dało się go do ranka uspokoić.

Zapytałem druha J., po co tak sobie żartuje. – To taki typowy harcerski dowcip, jeszcze przed wojną tak się straszaliśmy – padła odpowiedź. Hm... dowcip. A ja patrzyłem na zestresowane dziecko. Dziecko, które zostało skrzywdzone przez dorosłego wychowawcę. Wizytatora.

Nie, od tej nocy już tak jak dawniej nie ceniłem druha J. Jego harcerstwo nie było moim.



# Bądź twardy, ale elastyczny

---

nr 6/2014

---

Ostatnio w naszym środowisku doszło do konfliktu. Druh L. napisał obiektywnie rzecz biorąc prosty i niebudzący kontrowersji list, proponując sprostowanie czy też zmianę decyzji naszej komendantki. Drobną sprawą, jakich wiele. List ten wywołał jednak niebywałe emocje. Prawdziwą burzę. Dlaczego? Cóż takiego zrobił druh L.?

Odpowiedź jest prosta: L. to jeden z tych instruktorów naszej organizacji, którzy mają zawsze rację. Są nieugięci w głoszeniu swych poglądów. Na każdy temat mają coś do powiedzenia. Operują paragrafami, zasadami, przepisami wewnątrzorganizacyjnymi i państwowymi, statut pamiętając na wyrywki. Czy to źle? Czy należy im się przeciwstawiać?

Też taki przed laty byłem. No, może nie taki jak druh L., bo na paragrafach tak świetnie się nie znałem. Ale byłem twardy w swych poglądach. Aż do czasu, gdy usłyszałem: – Z druhem (to znaczy ze mną) nie ma dyskusji, druh zawsze musi postawić na swoim. – Gdy taka opinia została powtórzona raz czy drugi, powiedziałem sobie: – Nie, nie możesz zawsze mieć racji. Nawet gdy ją masz, nie wymądrzaj się. Bądź twardy, ale elastyczny. Inaczej przestaniesz odnosić sukcesy.

Z druhami L. (potraktujmy mojego przyjaciela jako przedstawiciela większej zbiorowości) jest pewien dodatkowy problem. Oni się znają, oni często wiedzą najlepiej. Głośno to artykułują i dążą do doskonałości. Wszak przepis, zasada, reguła jest najważniejsza. W efekcie chcą, abyśmy my wszyscy byli doskonałymi harcerzami, ludźmi, dziećmi swych rodziców i rodzicami swych dzieci, pracownikami i pracodawcami. Doskonałymi drużynowymi, komendantami, szczepowymi, namiestnikami... A oni, druhowie L., będą stali obok i nas oceniali. W zależności od charakteru – z ironią, z pobłażaniem, z radością, z powagą. I za każdym razem ich

zachowanie męczy nas, drażni, irytuje. I wywołuje burze. Oni czynią to oczywiście dla dobra organizacji, są o tym przekonani. Ale przynosi to marne efekty.

Tego błędu – bycia recenzentem cudzych poczynań – starałem się nie popełniać. Nieważne, czy byłem drużynowym, czy członkiem władz naczelných ZHP, zawsze wolałem pracować twórczo – z dziećmi, instruktorami, kursantami itd. Nie tak jak oni – podpowiadacze, rzeczywiście mający za zwyczaj rację, ale niepowodujący twórczego fermentu, niepociągający za sobą innych i niewnoszący zbyt wiele do naszych harcerskich poczynań. Taka rola mi nigdy nie odpowiadała.

Dla druhów L. miałbym dwie rady. Po pierwsze warto uwierzyć w tak zwaną mądrość zbiorową. Jeżeli kilka osób powie: – Nie da się – nie walczyć, nie machać szablą, bo tylko można kogoś przypadkowo zranić. Może wtedy porozmawiać indywidualnie? Może zamiast pisać list, umówić się na kawę? Po drugie umieć się wycofać. Ot tak normalnie, po ludzku. Bo pewnych rzeczy nie przeskoczymy, nie zrobimy i powtarzanie dobrych rad, które wszyscy znają, tylko złości.

Choć najlepiej by było, gdyby każdy druh „dobra rada” spróbował zmienić coś w swoim środowisku. Nie stał obok i doradzał. Wszystko jedno – sam lub ze zorganizowanym przez siebie zespołem – zajął się składkami instruktorskimi w hufcu, aktywnością naszych biernych harcistrzów lub porządkiem w lokalu hufca. Wszystko jedno – byle były jakieś efekty. Ale to trudne i dlatego obawiam się, że za tydzień lub miesiąc któryś druh L. napisze kolejny list – słuszny i mądry – i wywoła to kolejną burzę. Niestety...

# Warto służyć ludziom...

---

nr 7-8/2014

---

Zbliżają się wybory do lokalnych samorządów. Przewodniczący hm. Dariusz Supeł (pisząc także o wyborach do Parlamentu Europejskiego) wystosował do nas specjalny list. Hm. Lucyna Czechowska napisała felieton o zmienieniu swych poglądów na temat prezentowania poglądów politycznych przez członków naszej organizacji. Jak pamiętacie, spotkała ona w Opolu wspaniałego radnego, który był członkiem ZHR. I druhem radnym (i jego działalnością) się zachwyciła. W obu tekstach my – instruktorzy ZHP – jesteśmy namawiani do wykazywania się aktywnością polityczną... Bo w minionych latach różnie to bywało.

Nigdy się nie przejmowałem polityką organizacji w tej sferze. Ot, robiłem swoje. I uważam, że robiłem słusznie. Przypominają mi się wybory do samorządów lokalnych w roku 1994. To były ciągle początkowe lata III Rzeczypospolitej. Warszawa podzielona była na kilka gmin a ta największa – Centrum – dodatkowo na siedem dzielnic. Pełne szaleństwo. Ale samorząd musiał w takim kształcie funkcjonować.

Gdy zapytano mnie, czy chcę startować na radnego dzielnicy (ta nasza dzielnica, Praga-Południe, to prawie 200 tysięcy mieszkańców), nie wahałem się. Bo jeżeli nie ja – to kto? Natychmiast wyraziłem zgodę. Nie miejsce tu, by opowiadać o szczegółach, ale w moim okręgu wyborczym głosowało na mnie około tysiąca osób – wszedłem do rady. Ale nie sam. W naszym klubie był jeszcze Darek, instruktor ZHP a w klubie naszych politycznych przeciwników... dwóch instruktorów ZHR. Stanowiliśmy zatem całkiem niezłą harcerską reprezentację. Wywodziliśmy się z tego samego hufca, do niedawna pracowaliśmy wspólnie. I jakoś dogadywaliśmy się „ponad granicami”. Nie da się ukryć, że, jak to się szumnie mówi – dobro mieszkańców było dla naszej czwórki najważniejsze. Nikomu to nie szkodziło – i na pewno nie naszym organizacjom, które wówczas

liczyły mniej więcej na naszym terenie tyle samo członków. Mieliśmy w sumie silną pozycję w radzie i... silne harcerstwo w dzielnicy.

Czy warto było kilka lat poświęcić na dodatkową służbę? Ja nie żałuję. Chyba nie żalowali też pozostali instruktorzy harcerscy. Interesujące gro-  
no:

Wymieniony już Darek, kiedyś szef naszej stacji wodnej, komendant wielu obozów, który przeszedł do pracy w Urzędzie Dzielnicy, miał szansę na awans i twórczą pracę na rzecz miasta. Szansę tę niestety zmarnował. Dziś pełni służbę harcerską na wiecznej warcie.

Paweł, niegdyś świetny komendant szczepu, wykorzystał swoją wiedzę i zdolności. Był wiele lat radnym, pracując na rzecz miasta i państwa zawodowo dotarł aż do funkcji ministra w kancelarii prezydenta Kaczyńskiego. Leciał samolotem prezydenckim do Smoleńska...

Drugi Paweł, szczepowy, krótko nasz komendant hufca, jest dziś prywatnym przedsiębiorcą, działaczem PO, radnym Warszawy. Na co dzień współpracuje z naszym hufcem, bardzo nam pomagając.

Gdyby Lucyna Czechowska była nieco starsza i dwadzieścia lat temu miała możliwość oglądania pracy harcerskich radnych Dzielnicy Praga-Południe, pewnie już wtedy powiedziała: – Warto służyć ludziom, do tego zobowiązuje nas Prawo Harcerskie. Właśnie do takiej służby, na przykład radnych, jesteśmy przygotowywani w zastępach i drużynach. I (wierząc mi) robimy to lepiej niż inni. Lucyna świadkiem.

# Ten punkt dziesiąty...

---

nr 9/2014

---

**M**ija lato. Ileż to obozów w życiu poprowadziłem? Nie wiem. Najpierw byłem drużynowym na kolonii wychowawczej, a od pół wieku – komendantem obozów – stałych i wędrownych. No i oczywiście zimowisk. Może się kiedyś zdobędę, aby je wszystkie zliczyć. Ciekawe, ile łącznie byłem na obozach pod namiotami. Dwa lata? Trzy? Pamiętajmy, że obozy stałe zawsze trwały 26 dni.

Obozy... raz lepsze, raz gorsze. Raz (w Bieszczadach) zupełnie nieudane zgrupowanie. Chorągwiane. Wspominam je do dziś jak zły sen. Ale zazwyczaj wszystko się udawało, niepowodzenia były marginesowe. Nasze (moje) warszawskie harcerstwo w ciągu minionego pół wieku było jednak bardzo przyzwoite. Nie tylko dotyczy to programu. Bo my zawsze staraliśmy się przestrzegać Prawa Harcerskiego. W latach siedemdziesiątych – ponoć dla harcerstwa fatalnych – w wielu środowiskach nie było to niestety normą. Mieliśmy instruktorów, którzy już jako osoby dorosłe zaczęli pełnić w Związku ważne funkcje. Mieliśmy dużą grupę nauczycieli, którzy nie zmieniali na obozie swego normalnego, codziennego trybu życia. Byłem w szoku, gdy na początku lat siedemdziesiątych znalazłem się na spotkaniu czołówki instruktorskiej naszego Związku, spotkaniu, które zakończyło się oficjalną kolacją zakrapianą alkoholem. Ta fama (a i rzeczywistość) alkoholowa tu i ówdzie nadal istnieje. Niestety.

U nas, w naszym hufcu, było inaczej. Powiedzmy sobie – normalnie. Czasami wymagało to ode mnie podejmowania trudnych decyzji. Gdy 21-letni komendant obozu ukrywał w lesie swe ulubione butelki z winem, po prostu bez dyskusji opuścił nas, jego funkcję przejął A. – oboźny z sąsiedniego obozu (było to dla niego ogromne wyzwanie, ale sprawdził się, po jakimś czasie został komendantem hufca). Sytuacja banalna. Ale gdy na kilka dni przed zakończeniem obozu z powodu libacji alkoholowej musia-

łem wyrzucić kwatermistrza, magazyniera i jeszcze jedną osobę z kadry zgrupowania, sytuację miałem mało komfortową. Po prostu nie miałem kim tych druhów zastąpić. Cztery dni przed zwijaniem obozu. Na dodatek jeden z obozów (to z tamtego środowiska pochodzili wyrzuceni druhowie) zbuntował się. Ja nie chciałem opowiadać szczegółowo o powodach mojej decyzji a harcerze uważali, iż całą trójkę po prostu skrzywdziłem. Dziwnie było na ognisku kończącym zgrupowanie, gdy jeden obóz demonstracyjnie nie zaśpiewał ani jednej piosenki. Jednak nie żałowałem swojej decyzji. Dziesiąty punkt Prawa wszystkich nas obowiązywał.

Tak się zdarzyło, że oba te wydarzenia miały miejsce nad Partęczynami na Pojezierzu Brodnickim. Może to dla mnie jakieś pechowe jezioro?

Dlaczego w naszym środowisku przestrzeganie Prawa Harcerskiego było tak ważne? Wydaje mi się, że ogromną rolę odegrał tu komendant hufca, druh S. Pryncypialny, ostry, bardzo wiele od nas wymagający. Jego styl mógł nam, młodym, nie odpowiadać. Ale wpływ miał na nas ogromny. Między innymi nauczył nas, że obóz harcerski to nie kolonia pod namiotami, gdzie kadra bawi się nocami przy piwie czy mocniejszym alkoholu, lecz to wspólna zabawa starszych i młodszych – nasza wspólna wielka gra. Efekty owej nauki bywały różne, przykład tejże gry opisywałem przed czterema miesiącami. Taką zabawę można ocenić krytycznie, ale na pewno nasi instruktorzy wówczas nie byli pod wpływem alkoholu.

Kilka lat temu (a więc nie tak dawno) D. wyrzuciła ze swego obozu kilkusobową grupę młodej kadry. Za picie piwa. Bardzo się ucieszyłem. Oczywiście nie z faktu, iż harcerze łamali nasze zasady. D. postąpiła tak, jakbym ja na jej miejscu się zachował. Bo przestrzeganie Prawa Harcerskiego (także jego dziesiątego punktu) nas obowiązuje. Nie od pięćdziesięciu – od stu lat.

# Siódmy – przełomowy

---

nr 10/2014

---

Co cztery lata (a czasem częściej) nasi przedstawiciele zbierają się na zjeździe ZHP i podejmują kluczowe decyzje dotyczące całej organizacji. Co cztery lata rozmawiamy o programie i zmianach w statucie, pasjonujemy się wyborami władz naczelnych. Zastanawiamy się, co zrobić, by harcerstwo było lepsze, by pełniej oddziaływało na polską młodzież.

Przez pół wieku uważnie obserwuję efekty kolejnych zjazdów. Kilka razy byłem delegatem, zdarzyło mi się redagować materiały pozjazdowe, przygotowywałem też sprawozdania władz naczelnych. Moje zadania na kolejnych zjazdach zmieniały się. Długo by pisać...

Od pewnego czasu zastanawiam się, który ze zjazdów w czasie minionych 50 lat był w rzeczywistości najważniejszy. Który był autentycznie przełomowy. Gdybyśmy zapytali jakiegokolwiek instruktora, usłyszeliśmy jedną z dwóch odpowiedzi. Po pierwsze: „Nie wiem”. Po drugie: „Bydgoski”. Otóż nie bydgoski, który był bardzo ważny. Najważniejszy był siódmy, ten z marca 1981 roku. Przypomnijmy. Polska jest już po porozumieniach sierpniowych (to rok 1980). „Solidarność” jest z trudem akceptowana przez władze partyjne i państwowe. A u nas po raz pierwszy od roku 1956 wracamy autentycznie do korzeni organizacji.

Dwie były symboliczne decyzje VII Zjazdu. Warto je pamiętać. Po pierwsze odeszliśmy oficjalnie od programu Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej. To nie tylko zmiana nazwy na harcerstwo starsze i rezygnacja z piaskowych koszul ubarwianych czerwoną krajką z białymi szlaczkami. To przede wszystkim powstanie ruchu starszoharcerskiego – dzisiejszego wędrownictwa – z nowymi stopniami, z wymyślonymi wówczas znakami służb, z decyzjami o powołaniu Rady Harcerzy Starszych, zwołaniu Półowej Zbiórki Harcerstwa Starszego i zorganizowaniu Starszoharcerskiej

Akcji Szkoleniowej (w roku 1982). To oczywiście powrót do wizji Baden-Powella, Małkowskiego, Kamińskiego – powrót do źródeł. Po drugie rodzą się kręgi instruktorskie im. Andrzeja Małkowskiego dążące do powrotu do czystego moralnie harcerstwa. Na ów wątek moralny – i w sferze politycznej, i w sferze osobistych postaw instruktorskich – zwróciłbym szczególnie uwagę. Kręgi to przecież ruch, który w warstwie oficjalnej i nieoficjalnej (niektórzy powiedzą – podziemnej) doprowadzi do powstania ZHR.

Tak, harcerstwo roku 1981 było nadzwyczajnym ruchem, wtedy jeszcze dość (tak, tak) jednolitym. Takiego nie było wcześniej – i nie było później. Stan wojenny (co okazało się później) diametralnie tę sytuację zmienił.

W atmosferze odnowy harcerstwa we władzach organizacji znaleźli się bardzo różni instruktorzy. Już nie wszyscy członkowie Rady Naczelnej należeli do PZPR (to naprawdę kolosalna zmiana!). Ewidentnym przykładem zmian było wybranie do Rady Naczelnej (i prezydium tejże rady) hm. Józka Brody, artysty, drużynowego z Istebnej, który potrafił grać na każdym listku (w Wikipedii występuje jako ojciec Jozzka Brody). Z Warszawy wybrano do rady (to bardzo charakterystyczne, nasza chorągiew była bardzo tradycyjna, choć może nie tak jak krakowska) trzech instruktorów. Pierwszym był hm. Andrzej Jaczewski, wieloletni szczepowy, żeglarczy, profesor medycyny i pedagogiki, dziś na emeryturze piszący mądre teksty na swym blogu. Drugim hm. Grzegorz Nowik, także wówczas szczepowy, po latach (i do dziś) instruktor ZHR, aktualnie profesor, jeden z najwybitniejszych znawców historii harcerstwa, ale także historyk wojskowości. Trzecim członkiem RN z Warszawy byłem ja. Instruktor, który zawsze miał własne zdanie. Po raz pierwszy okazało się, że tacy jak ja (i jak Józek, Andrzej czy Grzesio) mogą na szczeblu centralnym współdecydować o ZHP!

To, wierzcie mi, był zjazd przełomowy. Fakt, dla mnie też.



# Pół wieku... czytania

---

nr 11/2014

---

Pół wieku czytania? Nieco więcej. Bo przecież czytałem wszystko o harcerstwie, co mi wpadło do ręki, jeszcze gdy nie miałem stopnia instruktorskiego. W kiosku polowałem na „Drużynę”. Był to dwutygodnik, a do „mojego” kiosku, tego najbliższego domowi, docierał w jednym egzemplarzu. Na szczęście w okolicy nie miałem zbyt wielu konkurentów. I zazwyczaj „Drużynę” udawało mi się zdobyć. Ot tak – w kiosku. A dalej już poszło – kupowałem wszystkie książki, jakie były na półkach w składnicy przy Marszałkowskiej, czasami upolowałem coś w „zwykłej” księgarni. To nie do opisania, jak cieszyłem się, gdy na ladzie w księgarni na Saskiej Kępie zobaczyłem „Ognie i ogniska” Kazimierza Koźniewskiego. Wtedy nie wiedziałem, że zacytuje go Kazimierz zniekształca po swojemu historię naszej organizacji. Że druha Kazimierza po latach poznam, będę redaktorem innej jego książki, że będę prowadził z nim długie rozmowy w jego mieszkaniu na warszawskim MDM-ie. Jednak wtedy „Ognie i ogniska” były pierwszą pozycją, w której o naszych tradycjach poczytać można było więcej niż w harcerskich słabiutkich poradniczkach. Ku mojemu zdziwieniu przed pięćdziesięciu laty nic nie udawało mi się zdobyć w kilku istniejących w Warszawie antykwariatach. A studiowałem polonistykę i przeglądać antykwariaty potrafiłem.

Jeżeli coś wiedziałem o harcerstwie, to przede wszystkim z tych lektur. Chłonałem wiedzę jak gąbka. Całą, ile się dało. I swobodnie mogłem prowadzić zajęcia na kursach (najpierw zuchowych) jeszcze będąc w liceum, mając szesnaście czy siedemnaście lat. Fakt – w Zuchowej Chałupie kształcono bardzo dobrze, a ja tam ukończyłem swój pierwszy instruktorski kurs.

No dobrze, od tamtych czasów minęło już pół wieku. Pół wieku czytania. Dziś ze zdumieniem patrzę na naszą młodą kadre. Ma wszystko – dziesiąt-

ki poradników, podręczników, powieści, opracowań historycznych itd., itd. Nasza kadra ma też internet, nie tylko z Wikipedią. I cóż z tego? Czytam kolejne karty prób na stopień przewodnika. To bardzo cenne dla mnie źródło wiedzy. A tam „Kamienie na szaniec”, a tam „Andrzej Małkowski”, a tam sformułowanie „przeczytam kilka numerów *Czuwaj*”. Wynika z tego, że jeden, drugi czy trzeci kandydat na instruktora nic nie czytał, nie czyta i nie ma zamiaru czytać. Bo o czym świadczy ten tekst-obietnica o przeczytaniu kilku numerów „Czuwaj”? Przecież ten druh czy druhna uczyni to z największym wstrętem, przeczyta, odrzuci w kącie i ani jednego tekstu nie wykorzysta do własnej pracy. O czym świadczy wpisanie do próby przewodnikowskiej „Kamieni na szaniec” lub „Tropami harcerskiej przesyłki”? Świadczy o zerowej wiedzy o historii harcerstwa.

Dlatego mamy drużyny, w których najważniejsza jest tzw. tradycja. Kolejny drużynowy prowadzi ją jak jego poprzednik, bo tylko od niego uczył się harcerstwa. Wpada w rutynę, czasem skorzysta z jakichś pomysłów, jakie prześlą mu na kursie. I to tyle.

Nie, nie podoba mi się taki model nowoczesnego harcerstwa. Ponad pół wieku je śledzę i nie wyobrażam sobie, bym mógł na jego temat się wypowiadać, bo mi coś „w duszy gra”. Nie, bardzo wiele o naszym ruchu i organizacji napisano, koniecznie trzeba o harcerstwie i w harcerstwie dużo czytać.

PS Pytanie do Druhen i Druhów. Cóż to za składnica przy Marszałkowskiej? Co to jest MDM? A co to jest Zuchowa Chałupa? Łatwo czy trudno na te pytania odpowiedzieć?

# Harc mistrz Polski Ludowej

---

nr 12/2014

---

Tak, będzie o stopniu, który starsi instruktorzy dobrze pamiętają, a dla młodszych i tych, nazwijmy ich – w średnim wieku – ten stopień to już zamierzchła historia. Bo harcmistrzyni i harcmistrzów Polski Ludowej nie ma już od roku 1991.

Stopień miał charakter honorowy. Można go było otrzymać po dziesięciu latach służby instruktorskiej w stopniu harcmistrza. Tak. Po dziesięciu latach bycia mistrzem harców! To spory szmat czasu. Ileż obozów, zimowisk, zbiórek, rajdów musiało się zorganizować, by dostać ten dla większości wymarzony stopień. Przyznawano go raz w roku – 22 lipca – w tamtych czasach dniu naszego święta narodowego. Starsi pamiętają, młodszy niech sobie poczytają, dlaczego właśnie ten dzień wybrano na najważniejszy w państwie z całego roku kalendarzowego. Naczelnik ZHP – najpierw na wniosek komend a później po latach po raporcie zainteresowanego – osobiście przyznawał ów stopień, który symbolizowała białoczerwona podkładka pod harcercskim krzyżem.

Pierwotnie było to (w drugiej połowie lat sześćdziesiątych) wyjątkowe wyróżnienie. Taki harcmistrz Rzeczypospolitej nowych socjalistycznych czasów. Hm. PL było niewielu – elita organizacji. Później stopień spowszechniał. Do roku 1989 przyznano go około sześciu tysiącom harcmistrzów. Armia instruktorów! Bo nasze władze dbały, by większość kadry z właściwym stażem harcmistrzami Polski Ludowej została. Ja też, aczkolwiek z pewnym opóźnieniem, otrzymałem ten stopień. O opóźnieniach, a może o ocenie naszej (mojej) pracy kiedyś osobno napiszę. Bo zawsze byłem doceniany, ale czasem inni byli doceniani wcześniej niż ja.

Stopień ten zlikwidowano dziwnie. Po prostu Rada Naczelna w swej uchwale w 1991 r. postanowiła znieść stopień. Znieść duży szmat naszej

historii. Jednego dnia stopień jest, drugiego nie ma – ot, jakby wyparował. Nagle nie było stopnia nam przyznanego. Przez nas cenionego. W barwach naszej flagi narodowej. Stopień odszedł wraz z Polską Ludową w niebyt.

Mieliśmy my, harcmistrze PL, założyć sobie sami czerwone podkładki. A było nas nadal dwa czy trzy tysiące (organizacja kurczyła się i mnóstwo instruktorów, szczególnie nauczycieli, odeszło ze Związku). Część z nas podkładki wymieniła. Kupiła sobie nowe i już. Ale część wymenić ich nie chciała. Z sentymentu? Ze zranionej dumy? Tłumaczyłem naszemu naczelnictwu: – Jakoś to trzeba uregulować. – Moje tłumaczenia pozostały bez echa. W efekcie kilku rozmów któregoś dnia (a byliśmy wtedy w Załączu) otrzymałem czerwoną podkładkę z rąk druha Stefana Mirowskiego, ówczesnego przewodniczącego i druha Ryszarda Paclawskiego, naczelnika. Biało-czerwoną im oddałem. Byłem usatysfakcjonowany, ale chyba jako jeden z nielicznych w całym ZHP...

# Z Jolą – moją najlepszą szefową

---

nr 1/2015

---

**P**rzez minione pół wieku miałem różnych szefów – tych harcerskich i tych „cywilnych”. Komendanci, kierownicy, dyrektorzy... Mądrzy i mało mądrzy, sympatyczni i beznadziejni. Wiedzieli, co o nich myślę, oni o mnie też mieli różne zdania. Jak to normalnie w życiu. Nie, nie będę ich wymieniał. Bo dziś chciałem wspomnieć moją najlepszą szefową – Jolę Chełstowską. Szefową, którą nazwałbym: harcersko-cywilną. Harcerską, bo przecież Jola była wieloletnią instruktorką w stopniu harcmistrzyni, czas jakiś zatrudniona była w Głównej Kwaterze, była też autorką poradników dla drużynowych. Ale cywilną, bo po prostu mnie zatrudniła na etat, bo była redaktorką naczelną w wielkim koncernie – Młodzieżowej Agencji Wydawniczej.

Ze mną było tak... Gdzieś przed stanem wojennym (nasi młodszy czytelnicy – pamiętajcie tę datę, jedną z najważniejszych we współczesnej historii Polski?) zacząłem systematycznie pisać do „Motywów” (był to tygodnik instruktorski o ogromnym nakładzie). Nie rozwodząc się zbyt długo – gdy wkładka do tego czasopisma stała się samodzielnym pismem metodycznym – „Drużyną” z trzema jej mutacjami dla każdego pionu wiekowego, Jola, naczelną tego całkiem nowego periodyku, zaproponowała mi prowadzenie mutacji starszoharcerskiej „Na Tropie” (tak na marginesie – ówczesny ruch starszoharcerski to dzisiejsze wędrownictwo).

Wspominałem w jednym z poprzednich felietonów, iż VII Zjazd ZHP obradujący w marcu 1981 r. zrewolucjonizował Związek. Po tym zjeździe, gdy już nie było programu HSPS (czyli Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej – ileż to rzeczy warto przypominać), między innymi trzeba było stworzyć lub odtwarzać dla harcerstwa w szkołach średnich program, elementy metodyki, formy pracy, obrzędowość. W tym celu szybko, wzorując się na inicjatywach sprzed lat (wtedy dotyczyło to ruchu

zuchowego) wymyślono Ofensywę Starszoharcerską. Mnie mianowano szefem sztabu tej ofensywy. Razem z grupą starszoharcerskich instruktorów, wśród których na przykład byli aktywni do dziś – hm. Bogdan Radys z Gdańska i hm. Piotr Niwiński z Krakowa – staraliśmy się zmienić ogólnopolski starszoharcerski świat na lepszy. Temu służyły nasze i GK ZHP inicjatywy, temu służyła Starszoharcerska Akcja Szkoleniowa latem 1982 roku. Jola i ja (a może ja i Jola) w naszym miesięczniku wspomagaliśmy wszystkie starszoharcerskie inicjatywy. A nie było to proste zadanie.

Jola, jak wielu ówczesnych instruktorów w średnim wieku, była wybitną osobowością wychowaną w innych czasach. Weszła do harcerstwa jako ukształtowana osobowość. Świetnie pisała, rozumiała i czuła harcerstwo, choć nie miała w nim zbyt wielu osobistych doświadczeń. W czasach „Drużyny” pisała materiały poradnikowe (dla drużynowych harcerskich) „Z pamiętnika Iki”. I dostawała listy, w których drużynowi opisywali podobne sytuacje do tych, które Jola wymyślała sobie za biurkiem w Warszawie.

Za co ją najbardziej chwaleb? Za umiejętność kierowania zespołem. Jola po prostu dawała nam wolną rękę i tylko pilnowała, aby nasze pisma (bo mieliśmy jeszcze „Drużynę – Propozycje” i „Drużynę – Zuchowe Wieści” były ciekawe, twórcze i czytane przez kadrę. Nie przeszkadzała mi redagować „Drużyny – Na Tropie”.

Pozwalała mi i na przykład naszemu grafikowi hm. Jackowi Koteli (a przecież każdy tekst przed wydrukowaniem uważnie czytała) na najdłuższe brewerie i nigdy (no, prawie nigdy) nie powiedziała „nie wolno”. A były to lata ostrej cenzury, próby wzmacniania po stanie wojennym przewodniej roli PZPR i wycofywania się naszych harcerskich władz z zapowiadanych daleko idących reform. Tak, napiszę kiedyś felieton o niesławnym VIII Zjeździe ZHP. Był to rok 1985.

Pod koniec lat osiemdziesiątych zlikwidowano „Motywy” i pozostaliśmy na rynku my – „Drużyna” z naszymi trzema mutacjami cieszącymi się popularnością w ZHP. Wtedy to, co nas zdziwiło i chyba naszą szefową, staliśmy się niechętnie widziani przez Główną Kwaterę. Dlaczego? Może dlatego, że Jola prowadziła pismo zgodnie z koncepcją VII Zjazdu ZHP? Może dlatego, że pozwalaliśmy sobie na krytykę poczynań naszych harcerskich władz? A która władza to lubi?

Wymyśliła więc Główna Kwatera, że także będzie wydawać miesięczniki metodyczne (zresztą o tych samych tytułach, tyle że nie miały już wspólnej nazwy „Drużyna”), że nie warto promować w ZHP prenumeraty naszych pism.

Gdy nadszedł słynny zjazd bydgoski, „Drużyny” właściwie już nie było. I nie było tygodnika „Motywy”. Zamiast tego powstał dwutygodnik „Czuwaj”. Umiejętności całego naszego zespołu harcerska centrala wykorzystać nie chciała. Poszliśmy w odstawkę. Jola niestety też. A była tak świetną szefową. I tak dobrze rozumiała harcerstwo.

# Tym razem będzie o służbie

---

nr 2/2015

---

Uważni czytelnicy tej rubryki zdziwić się mogą rozrzutem poruszanych przeze mnie tematów. Dlatego na początku dziesiątego, a więc jubileuszowego felietonu przypomnę (po raz kolejny?): pół wieku temu zdobyłem stopień podharcemistrza i poprowadziłem samodzielne zgrupowanie obozów. Przez te pół wieku nabierało się wspomnień, refleksji, uwag. I co wybrać, co jest ważniejsze? Najważniejsze? Dziś będzie o służbie.

Teoretycznie wiemy – nie ma przyzwoitego harcerstwa, ba, nie ma harcerstwa bez służby. Bez takiego działania na rzecz społeczeństwa, aby wszystkim nam żyło się milej (zasadźmy tulipany na zaniedbanym trawniczku przed szkołą), godniej (będziemy czytać starszej pani książkę dwa razy w tygodniu, a może nawet wypijemy z nią herbatę i porozmawiamy o pogodzie, bo starsza pani nie wychodzi już z domu), aktywniej (bawimy się raz w miesiącu z dziećmi z zaprzyjaźnionego domu dziecka – ot, w zwykłe harcerskie gry, może po jakimś czasie będą one chciały założyć zastęp harcerski?). Również aby nasz świat był piękniejszy (opiekujemy się laskiem w najbliższej okolicy i sprzątamy go systematycznie, bo nasi rodacy mają zwyczaj śmiecenia i zapaskudzenia naszej przyrody).

Nasza służba jest bezinteresowna (nie jest nią „zarabianie” w supermarketach, gdy pakujemy kupującym towary) i powinna nam dawać radość (bo cóż to za przedstawienie dla przedszkolaków, jeżeli sami w czasie spektaklu nie jesteście uśmiechnięci).

Gdy zastanawiam się, które moje działania mieszczące się w powyżej zarysowanych ramach przyniosły najwięcej efektów, ciśnie mi się na usta jedno słowo – Białoruś.



Działania na rzecz Polaków na Wschodzie wpadły mi (choć przede wszystkim Misi, szefującej przez lata odpowiedniemu zespołowi w GK) jakoś tak naturalnie. Była taka potrzeba – prawie dwadzieścia pięć lat temu! – więc przystąpiliśmy do działania. Oczywiście pomagaliśmy nie tylko harcerzom na Białorusi, lecz także harcerstwu w Czechach, na Ukrainie, na Litwie, nawet w dalekim Kazachstanie i na Węgrzech. Nasz zespół zmniejszał się, nawet aktywne środowiska z mojego hufca przestały współpracować z harcerstwem na Wschodzie. Ja pozostałem. Nie, nie jestem samotnym białym żaglem, który walczy o jakość tamtejszych organizacji. Nawet dość łatwo udaje się do konkretnych działań zaangażować pokątną grupę współpracowników. Z naszej Pragi-Południe, ale i z dalekiego dla nas Gdańska, Sokołowa Podlaskiego czy bliższego Celestynowa. I możemy sobie, a może powiem – i mogę sobie pozwolić, aby zaprosić setkę harcerzy zza naszej wschodniej granicy, aby poprowadzić dla nich kurs drużynowych lub zastępowych, aby pokazać im kawałek normalnego harcerstwa. Trzytygodniowy obóz pod namiotami – duża rzecz. A później kontakty przez długie miesiące, pomoc, rozmowy, maile. Niestety niezbyt intensywne, na pewno zbyt powierzchowne. Ale powiedzcie mi, kto jest z nimi (na dobre i na złe) cały czas, kto śledzi losy poszczególnych środowisk, na kogo mogą harcerze ze Wschodu zawsze liczyć?

Harcerska służba czyni się sama. Ona jest, jej nie trzeba na siłę wymyślać. Wokół jest tyle potrzeb. Tak różnorodnych. Każdy z nas może znaleźć sobie jakieś, jak to ładnie mówimy, pole służby. Takie stałe pole, które będziemy uprawiać przez lata, no może nie przez pięćdziesiąt lat, ale choćby lat dwadzieścia pięć. Bo dlaczego by nie?

# Nasze Przyrzeczenia

---

nr 3/2015

---

**D**yskutujemy (ostatnio obowiązkowo i ogólnozwiązkowo) o rocie Przyrzeczenia Harcerskiego. O ewentualnym wprowadzeniu drugiego alternatywnego tekstu. I słusznie. Pozostawianie od lat tak ważnego tematu jedynie kolejnemu zjazdowi zwykłemu nie jest rozsądne. W trakcie zjazdu nie ma szans na autentyczną pełną dyskusję. Zazwyczaj zjazd zdominowany jest wyborem władz. Nawet gdy nie ma zbyt wielu kandydatów na konkretne funkcje. Tak było zawsze w ciągu minionego pół wieku. Może warto by było zwołać w tej sprawie zjazd nadzwyczajny?

Z większą lub mniejszą intensywnością dyskusja o podstawowym dla ZHP dokumencie ideowym trwa w rzeczywistości od lat. Nigdy się nie zakończyła. Bo pomimo tego, że mamy jedną rotę, tę „z Bogiem”, pytamy od zjazdu poznańskiego (młodszych zachęcam, aby o tym zjeździe się czegoś więcej dowiedzieli – to przecież było 20 lat temu!), czy nadal nie może „Prawda i Sprawiedliwość” zastąpić w Przyrzeczeniu Boga? A może „Dobro Najwyższe”? Czy rzeczywiście Prawda i Sprawiedliwość były tylko przejściowe, tymczasowe i zastępcze?

Wydaje mi się, że gdyby Stowarzyszenie Harcerskie było silniejszą organizacją a nie w rzeczywistości dużym hufcem, byłoby inaczej. Bo w Stowarzyszeniu dwie rotę przecież funkcjonują. Organizacja ta powstała, gdyż instruktorzy warszawskiego Hufca Śródmieście nie zaakceptowali poznańskiej decyzji o jednej rocie. Gdyby organizacja harcerska z dwiema rotami odnosiła autentyczne sukcesy, moglibyśmy zastanawiać się, czy taką drogą nie powinien pójść ZHP. Ale jak na razie nie jest to dla nas wzór. Po prostu sukcesem jest, że Stowarzyszenie istnieje. I tyle.

Rota Przyrzeczenia Harcerskiego zmieniała się w ciągu minionych lat. Nie jest (na szczęście) świętością. Ponad pół wieku temu, 22 lipca, nasz

komendant hufca zorganizował nam uroczystość przyrzeczenia (data ta wywołuje wśród niektórych instruktorów ogromne emocje, więc nie napiszę tym razem, dlaczego składaliśmy przyrzeczenie tego dnia). A więc 22 lipca w roku 1958 kilkudziesięciu członków obozu stanęło w dwuszeregu i przyrzekało całym życiem. Ja też. Dziwna to była uroczystość. Takie rozdawanie krzyży. Ale pamiętać trzeba, że był to dla większości z nas pierwszy obóz, że wszyscy uczyli się harcerstwa, także nasz komendant. Przez pięćdziesiąt lat nauczyliśmy się, jak we właściwej formie przeprowadzać tę najważniejszą dla każdego harcerza uroczystość. Choć czasem się zastanawiam, czy dziś w niektórych środowiskach forma nie jest ważniejsza niż treść. O tym kiedyś napiszę.

W roku 1958 mieliśmy szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Polsce Ludowej. Tak było. W latach siedemdziesiątych przyrzekaliśmy w ZHP być wiernymi sprawie socjalizmu. Poczytacie jeszcze o tym w „Czuwaj”. Od roku 1989 tekst roty zmieniał się i normalniał. Ale to też już historia. To jak będzie tym razem? Będzie druga rota? Czy to jest możliwe? Będzie Najwyższe Dobro? Sprawiedliwość? A może nie będzie? Dyskutujmy.

# Mój prawdziwy obóz

---

nr 4/2015

---

**D**yskusja o prawdziwym, czyli dobrym autentycznym harcerstwie trwa od zawsze, trwała także przez „moje” pół wieku. Ponieważ zbliża się akcja letnia, nie będę zajmował się dzisiaj wszystkimi cechami owego prawdziwego harcerstwa, lecz zadam wam kilka pytań dotyczących obozu. Bo wszak obóz harcerski dla drużyny stanowi podsumowanie całorocznej pracy. Bo na obozie prawdziwie harcerskim w rzeczywistości wychowujemy znacznie bardziej skutecznie niż przez całą pozostałą część roku. Banalne stwierdzenia.

Dobry obóz...

- Czy to taki, który przygotowywany jest nie tylko przez kadrę, ale przede wszystkim przez harcerzy? Zaplanowany w najdrobniejszych szczegółach przez zastępy? Tak programowo, jak i organizacyjnie?
- Czy to taki, w którym na etapie planowania (rok wcześniej, prawdopodobnie na poprzednim obozie) harcerze zdecydują, gdzie się obóz będzie odbywał? W tym samym miejscu? A może w innej części Polski?
- To taki, gdzie wszystkie zastępy wybudują swą, jak to mówimy u nas w hufcu, obozową republikę, a więc roztawią namioty, zbudują urządzenia obozowe i całą dekorację wraz z totemami zastępów? (Tak, nie wrócą już czasy, gdy budowaliśmy kuchnię z cegieł i najważniejszym w niej paliwem był chrust, jaki sami przynieśliśmy z lasu).
- Czy taki, gdzie będzie pełna samoobsługa, a więc przy pomocy jednego dorosłego opiekuna harcerze będą przygotowywać posiłki, będą też pełnić wartę, będą pilnować, aby na terenie było czysto? Jak w wielkiej rodzinie?

- To taki, gdzie zajęcia prowadzone będą tak przez kadre, jak i poszczególne zastępy, gdzie każdy harcerz będzie mógł się wykazać swą wiedzą i umiejętnościami?
- I taki, gdzie tenże harcerz zdobędzie mnóstwo nowych przydatnych na co dzień umiejętności – od nauczenia się obierania ziemniaków poczynając?
- I oczywiście taki, gdzie będzie panować znakomita atmosfera, kadra pod każdym względem będzie wzorem dla wychowanków, gdzie nikt na nikogo nie gwizdże, nie ma „pilotów”, karniaków, karnych pompek i alarmów oraz gdzie są nagrody hojnie rozdawane przez kadre?...

Te pytania, przecież retoryczne, mógłbym zadawać dalej. Bo cóż to znaczy dobry obóz? Może warto jakiś opisać? Ale przecież każdy jest inny... I każdy może być dobry.

Gdy przypominam sobie, jakie były moje obozy (a piszę oczywiście o obozach stałych), których przeprowadziłem kilkanaście, gdy przypominę sobie, ile trudu kosztowało mnie i moich harcerzy przygotowanie, poprowadzenie i rozliczenie obozu... Ile się nauczyliśmy, jaką zdobyliśmy wiedzę, jak wielkie i różnorodne nabyliśmy doświadczenie – tego nie da się przecenić! Była to nasza wielka przygoda, ale wszyscy uczyliśmy się życia. I nie była to przecież tylko nauka życia w lesie.

# Być prawdziwym zuchem!

---

nr 5/2015

---

Nieco ponad pół wieku temu prowadziłem gromadę (zwaną wówczas drużyną) zuchów. Należało do niej ponad dwudziestu chłopaków z warszawskiej Saskiej Kępy. Trzy razy byliśmy razem na kolonii, później ja w harcerstwie awansowałem, oni przeszli do drużyny harcerskiej.

Gdy ktoś mnie pyta, czym się współczesne zuchy różnią od tych moich, opowiadam o elemencie naszej obrzędowości. O tym, jak moje „Jerzyki” wykazywały się dzielnością przy okazji składanej przez nich Obietnicy. Każdy zuch otrzymywał ode mnie watekę nasączoną spirytusem i igłę. Następnie musiał wbić sobie igłę we wskazujący palec lewej ręki, „wytoczyć” kroplę krwi i „przy pieczętować” tą krwią w księdze drużyny złożoną Obietnicę. Obok owej krwawej plamy zuch się podpisywał. Spirytus potrzebny był do dezynfekcji, ponieważ nie tylko dzielność była ważna, ale i czyste zuchowe palce. Bo rodzice z powodu braku zachowania zasad higieny mogliby mieć do mnie pretensje. Nikt z nich nie powiedział mi, że nasza próba dzielności jest nieodpowiednia.

Ów przykład jest skrajny, ale moje zuchy rzeczywiście były dzielne, samodzielne, radosne, starały się być coraz lepsze i (prawie) wszystkim z nimi było dobrze.

Druga połowa kwietnia roku 2015. Uczestniczę w ogólnopolskiej konferencji, w czasie której rozmawiamy między innymi o sześcioletkach w zuchach. Kilkoro instruktorów w trakcie dyskusji walczy o oficjalne uznanie, by do ZHP mogły należeć pięcioletki. Obok mnie siedzi bardzo doświadczona instruktorka zuchowa, nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, która od czasu do czasu powtarza: – Ale te najmłodsze i nawet te starsze zuchy ciągle płaczą. – A na sali padają przykłady o maluchach w harcerstwie, które same sprzątać nie będą, których pilnować trzeba, bo

się same nie umyją, bo czasem nie potrafią posługiwać się w czasie posiłku nożem. Są normalnymi sześciolatkami. No i nie potrafią pisać.

A ja przypominam sobie moje zuchowe zbiórki i kolonie. Na nich nikt nie płakał! Na zwiad na pocztę (dwie przecznice od szkoły) zuchy poszły same. Same przychodziły na zbiórki i ze zbiórek wracały. (No, kilku z nich przychodziło do mnie do domu i na zbiórkę mnie zabierało). Wyda-  
je mi się, że chłopcy byli bardzo podobni do tych, jakich opisywał Aleksander Kamiński. Najmłodszy mój zuch chodził do drugiej klasy, najstarsi uczestnicy kolonii byli absolwentami klasy czwartej! To były dzieci na innym etapie rozwoju niż nasze współczesne zuchy z „zerówki”! Takie zuchy – nie do końca zuchy.

Dziś dyskutujemy o pięciolatkach w zuchach. Jakieś nieporozumienie. Moim zdaniem sześciolatkowie, siedmiolatkowie, te dzieci, które nie potrafią jeszcze czytać i pisać, nie powinny należeć do zuchów! Bo nigdy nie będą prawdziwymi zuchami. Jedynym rozsądnym rozwiązaniem jest utworzenie dla tych malców odrębnych gromad „minizuchów”, „skrzą-tów” czy „krasnoludków”. Z odrębną, uproszczoną metodyką. Niech sobie płaczą, socjalizują się, płasają i po swojemu, na swoim poziomie, zdobywają sprawności. Bo na pewno małe dzieci chcą należeć do takiej organizacji, jak harcerstwo.

Ale nie psujmy metodyki zuchowej. Ona jest znakomita! Nie zniszczyli-  
śmy jej od lat trzydziestych ubiegłego wieku. Niech więc zuchy pozostaną zuchami. Takimi z „Antka Cwaniaka”, a nawet z mojej drużyny „Jerzy-  
ków”, gdzie próba dzielności była autentyczna.

# O moich harcmistrzach

---

nr 6/2015

---

W kolejnych felietonach o instruktorskiej połowie wieku snuję refleksje o różnych aspektach naszej działalności. I gdzieś w tyle głowy brzmi „wychował swego następcę...”. Nie, nie o następcach na moich funkcjach (nie tak znów wielu) będę dziś pisał. Będzie o moich następcach-harcistrzach. Byłem opiekunem ich prób.

Pamiętać trzeba, że osoba opiekuna prób narodziła się (jak na te pół wieku) dość późno. Przecież z czasach harcmistrzów Polski Ludowej (o czym pisałem) takich opiekunów nie było. Więc moje przygody w tej roli nie są znów tak długie.

Muszę przyznać, że jedną z najmilszych przygód w tym harcmistrzowsko-podharcmistrzowskim świątku była ta nieudana (jeszcze) próba druha R. Pojawił się nagle – nieznanymi instruktor z nieznanego mi środowiska. I zakomunikował, że tylko ja mogę być jego opiekunem. Dlaczego? Bo pamiętał mnie jeszcze sprzed lat, jeszcze z XX wieku, jeszcze z mojej aktywności w ówczesnym ruchu starszoharcerskim. Odszukał, umówił się, rozmawiał. Z próby nic nie wyszło. Czasem tak jest – można być w średnim już wieku bardzo aktywnym i nie mieć możliwości sprostania zadaniom, jakie stawia przed kandydatem na harcmistrza zestaw wymagań. Jeszcze się do R. odezwę, może zmieni zdanie?

Inaczej jest z S. Pod koniec maja siedziałem z nim nad jego próbą. S. jest młody jak na przyszłego harcmistrza. Gdy dobrze pójdzie, będzie nosił pod krzyżem czerwoną podkładkę mając 24 lata. Tak sobie zaplanował – tytuły magistra i harcmistrza razem. To łatwa próba – większość zadań i tak S. realizowałby niezależnie od tego, czy zdobywałby stopień, czy nie. Ale czy można mieć pretensję do instruktora, że jest aktywny i wielu interesujących zadań się podejmuje?



Kłopot jest z takimi instruktorami, jak A. Aktywna, podejmuje nowe wyzwania, pełni coraz bardziej odpowiedzialne funkcje. Jednak zdobycie stopnia nie jest dla niej najważniejszym zadaniem. Coś się w trakcie realizacji próby nie udało, gdzieś pojawił się jakiś problem i z zamknięciem dobrze napisanej i realizowanej próby mamy problem. A przecież A. jest już na poziomie harcmistrzyni, jej cała droga harcerska i instruktorska o tym świadczy. Męczę się, męczę ją. Strasznie jesteśmy tym męczeniem zmęczeni. Ale gdy powstanie już raport z próby, okaże się, że A. zrealizowała swe zadania z „górką”. Tylko niech ten raport powstanie.

Z moich podopiecznych najlepszy raport napisał J. To instruktor w średnim wieku, późno realizował swą próbę. Dlatego niektóre zadania miały charakter historyczny. Dosłownie. Ale J., który jest z zamiłowania zbieraczem harcerskich pamiątek, uzbierał dwa wielkie skoroszyty, w których znalazła się pełna dokumentacja jego dokonań. Mogę powiedzieć – bardzo interesująca dokumentacja. Z nią większość instruktorów zdobywająca stopień harcmistrza ma kłopot – J. tego kłopotu nie miał.

To kim się do tej pory opiekowałem? Kto pod moim okiem został harcmistrzem? Jeden aktualny członek Głównej Kwatery, jedna kierowniczką wydziału i jedna szefowa zespołu w GK, jedna drużynowa (ale z doktorem z psychologii), jeden członek komendy hufca. I jeden harcmistrz, który musiał na jakiś czas przerwać swą instruktorską służbę. Tyko sześcioro? Spokojnie. Będą następni. Za miesiąc, za trzy, za dwa lata. Harcmistrzów trzeba powoli wychowywać. Nie, nie jest to łatwa sztuka, ale jaka wdzięczna.

# A jednak (niestety) tacy jak inni...

---

nr 7-8/2015

---

Pamiętacie dziesięcioletnie hufce? Takie, jakim był nasz? A przecież nie byliśmy największym środowiskiem w kraju... No tak, tylko nieliczni mają tyle lat, aby pamiętać tamte zamierzchłe czasy. Niektóre hufce były wielkości dzisiejszych chorągwi. Zuchy, harcerze, harcerze starsi i instruktorzy... Tych ostatnich – harcerzy i harcerek starszych oraz instruktorów i instruktorek – ponad szesnastoletnich młodych ludzi było nas w hufcu ze dwa tysiące. I było zupełnie normalne, że działo się między nimi (no, między nami) to, co dziać się musiało, co miało miejsce za czasów Andrzeja Małkowskiego (i jego narzeczonej a później żony Olgi Drahonowskiej) i ma miejsce dziś. Nic nowego pod słońcem. Wielkie, niewyobrażalne i małe miłości i fascynacje. On i ona. Ona i on. Młodzieńcze zdrady i nowe związki. Codzienna burza hormonów. W szczepach, drużynach i między szczepami. W namiestnictwach... W trakcie kilkutygodniowej akcji letniej.

Nasz komendant hufca – ogromny autorytet – był z nas dumny. Szczególnie wtedy, gdy stawaliśmy na ślubnym kobiercu. Ale i ja też cieszyłem się, gdy jeden z moich byłych i dorosłych już zuchów został mężem zaprzyjaźnionej szczepowej a drugi zuch – byłej drużynowej z mojego szczepu. Tych instruktorskich małżeństw w szczepie mieliśmy ponad dziesięć, lecz to już inna historia.

Małżeństwa instruktorskie były ukoronowaniem naszych wielkich miłości. Tak. Komendant hufca był z nas dumny. Sam doprowadził do tego, że jego żona została instruktorką, i cieszył się z każdego harcerskiego związku. Tradycyjnie w imieniu komendy wręczał nam – małżeństwom instruktorskim – prezent ślubny – komplet sztuców. W kilkudziesięciu domach te sztucce do dziś są używane. W moim też.

I przez lata małżeństwa te były szczęśliwe. Tak jak państwo K. To typowe obozowe małżeństwo. Ona podrywa go – przystojnego, wysokiego, uroczego i nieśmiałego młodego instruktora, za którym oglądała się każda dziewczyna. Po obozie ślub i pięćdziesiąt lat szczęśliwego wspólnego życia. Niedawno obchodzili rocznicę. Tak jak państwo P. Ona podobała mi się, lecz nawet spojrzeć na mnie nie chciała, wolała innego. Są dziś P. szczęśliwymi dziadkami, spokojnie patrzącymi w przyszłość. Tak jak E. i J. Ich córka została wybitną instruktorką, zięć też był oczywiście instruktorem. Przed wnukami świątlna harcerska przyszłość.

Ale, ku mojemu zaskoczeniu, część naszych harcerskich małżeństw rozpadła się. Przez lata nic tego nie zapowiadało. I w którymś roku pękło. Okazało się, że on, zgodnie z banalnym schematem, zakochał się w młodziej. I odszedł. A ona, nie wiedzieć dlaczego, znalazła swe szczęście w ramionach innego. Smutno, bo wydawało się, że my, instruktorzy harcerscy, jesteśmy ulepiani z innej gliny, że jesteśmy mądrzejsi, lepsi. Że u nas, w harcerstwie, ta obietnica wypowiedziana w urzędzie stanu cywilnego lub w kościele będzie dotrzymana. Bo przecież nie były to małżeństwa przypadkowe, były zawierane odpowiedzialnie, z rozwagą.

Niestety w tej sferze jesteśmy tacy sami, niczym nie różnimy się od innych naszych rodaków. Tak bym chciał, aby wszystkie nasze instruktorские małżeństwa były jak K., jak P., jak E. i J. A jednak w kilku przypadkach coś się nie udało. Jak to w życiu...

# Wędrujemy, wędrujemy...

---

nr 10-11/2015

---

Pamiętacie? „Wędrujemy, wędrujemy ścieżkami zielonymi, czy to w słońce, czy to w deszcz, wędrujemy po ojczyściej naszej ziemi, by ją zwiedzić wzdłuż i wszerz”. Tak – harcerstwo, szczególnie to starsze, to wędrowniacy. Wędrowniacy po swojej miejscowości, po okolicy, po Polsce.

Przez wiele lat co roku przez dwa tygodnie wędrowałem z plecakiem po Polsce. Zazwyczaj na południu kraju. Na wschodzie Tarnica, a właściwie granica kraju z ulubionym potokiem o nazwie Zgniłocha, na zachodzie Sudety, gdzieś za Szklarską Porębą. Nie wędrowałem sam, zawsze było nas kilkanaście osób. W okresie największego rozkwitu mojego szczerpu organizowaliśmy dwa lub trzy obozy wędrownicze. Ten drugi był rowerowy, kajakowy lub pieszy, ale w innym rejonie kraju.

Nikt już z naszych współczesnych wędrowników nie jest w stanie wyobrazić sobie, jakie mieliśmy wyposażenie. Jakie były plecaki, których paski raniły ramiona, jakie było obuwie, powodujące, że część z nas codziennie miała na stopach nowe bąble i otarcia. Nosiliśmy ze sobą kochery i litry denaturatu, nosiliśmy kilogramy żywności, bo nie codziennie przechodziliśmy obok sklepu. Oczywiście inaczej było w Bieszczadach i Beskidzie Niskim, inaczej w Kotlinie Kłodzkiej. Ale zawsze były jakieś problemy. Choć, uwaga, uwaga, nigdy nie byliśmy głodni.

To była prawdziwa przygoda, którą planowało się pół roku wcześniej, bo zazwyczaj staraliśmy się zarezerwować trasę proponowaną w swoich schroniskach przez PTSM. Ale nie zawsze było to możliwe, trzeba było nocować w schroniskach PTTK lub liczyć, że znajdzie się miejsce do spania w jakiejś stodole. Aaaa... Wyobrażacie sobie, że nie było śpiworów? Że nosiliśmy ze sobą koce?

Z noclegami bywało różnie. Pod chmurką spałem raz czy dwa. Pamiętam, że w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej coś nam się nie udało i kilka nocnych godzin spędziliśmy na trawie. A w Beskidzie Niskim przyjęli nas więźniowie, gdyż tam poza obozami pracy innych skupisk ludzkich nie było. W Wąchocku gościli nas ojcowie cystersi. I jak oprowadzili po całym klasztorze! Co prawda dziewczęta nie mogły zajrzeć do wszystkich pomieszczeń, ale tak w klasztorach już jest.

Robiliśmy wszystko, aby wędrować w kierunku Krakowa (czyli z Bieszczad na zachód, z Beskidu Śląskiego czy Żywieckiego na wschód a w Jurze z północy na południe). I obóz kończyliśmy, wykorzystując resztki pieniędzy w krakowskiej „Jamie Michalikowej”. Tam jedliśmy lody, ciastka, piliśmy „na rachunek” kawę. Oczywiście byliśmy w mundurach, które w trakcie obozu nie były zbyt często wykorzystywane. Mundury były czyste! Nie, z Sudetów nie jechaliśmy do Krakowa, wtedy lody były we Wrocławiu. A w Górach Świętokrzyskich w Kielcach. Ale nic nie mogło nam zastąpić „Jamy...”.

Znam Polskę dzięki harcerstwu, najpiękniejsze szlaki, najpiękniejsze widoki, najpiękniejsze miejsca. Szkoda, że takie harcerstwo jest już tylko historią. A może takie prawdziwe obozy wędrownie wróć? Ot, marzenia.

# Potrzebujemy autorytetów

---

nr 1/2016

---

**W**stęp dla tych, którzy nie śledzą moich felietonów zbyt uważnie: Mają one taki nadtytuł, gdyż ponad pół wieku temu wręczono mi zieloną podkładkę – wszedłem do grona elity (moim zdaniem) instruktorskiej. Ponad pół wieku temu po raz pierwszy poprowadziłem też zgrupowanie obozów. Pokazałem, że naprawdę dużo potrafię.

Rozwinięcie dla tych, którzy mnie nie znają: Na niedawnym spotkaniu „skórzanych sznurów”, a więc instruktorów Głównej Kwatery, w trakcie rozmowy na różne tematy zabrałem głos twierdząc, że szereg kłopotów w naszej organizacji wynika z faktu, że nie mamy i nie chcemy mieć w Związku autorytetów. Brak nam instruktorów, do których moglibyśmy zwrócić się z trudnymi pytaniami i uzyskać mądrą, odpowiedzialną, ewentualnie łagodzącą konflikty odpowiedź. Przed kilkunastu laty takim autorytetem był druh Stefan Mirowski. Mówimy: Autentycznym autorytetem. Mieliśmy ich więcej. Ale druh Stefan pozostanie dla mnie ich symbolem.

W trakcie spotkania zastanawiałem się, dlaczego nawet ci, którzy autorytetami mogliby dziś być, decydują się na pozostanie ludźmi „trudnymi”, kontrowersyjnymi, drażniącymi innych. Albo mdłymi, nijakimi. Dlaczego do druha A. lub druha B. nigdy bym nie podszedł, aby zapytać o radę, o najlepsze rozwiązanie w trudnej sytuacji jakiegoś środowiska. A przecież ci i inni druhowie mają dużą wiedzę o ZHP, znają i rozumieją procesy rozwoju organizacji, mają też mnóstwo kontaktów... Lecz jeden będzie się wymądrzał i zabierał głos na każdy temat, wyklócając się w sprawach tak ważnych, jak i mało znaczących. Drugi druh będzie uważał, że każdy jego rozmówca nie dorasta mu do pięt, więc nadyma się jak balon i mało co nie poszybuje w przestrzeń. Trzeci druh pięknie mówi, lecz nie jest w stanie swych myśli przelać na papier (a ja pa-

miętam mądre gawędy-felietony druha Mirowskiego). Czwarty narzeka, marudzi i ma za złe. I tak dalej. I tak dalej. Nigdy oni nie będą w Związku autorytetami. Na marginesie – autorytetem dla harcmistrzów nie będzie trzydziestolatek. Bo nawet gdy młody człowiek ma dużą wiedzę o harcerstwie, zawsze zabraknie mu doświadczenia życiowego. A to też jest przecież bardzo ważne.

Teraz rozwinięcie dla tych, którzy mnie znają. Wiedzą, że zawsze miałem własne zdanie, że różne osoby w harcerstwie mnie nie lubiły, że byłem ostry, nawet bardzo ostry, że często padało pod moim adresem zdanie „bo druh to ma zawsze rację” i że jestem w hufcu od zawsze. Może właśnie dlatego dla niektórych jestem autorytetem? I gdy zadałem pytanie mojemu potencjalnemu podopiecznemu, który poprosił mnie, abym został jego opiekunem, gdyż chce otworzyć próbę instruktorską, usłyszałem odpowiedź: – A jeżeli nie Druh, to kto?

Zakończenie: Mamy kłopot. W harcerstwie potrzebujemy autorytetów. Każdy z nas – harcmistrzów – w jakimś środowisku autorytetem powinien być. Albo postarać się być autorytetem. Bo jeżeli nie my, to kto?

# Nie pisałem pamiętników

---

nr 2/2016

---

Tak, strasznie żałuję, że przez minione pół wieku nie pisałem pamiętników. Ileż to faktów wypada z pamięci. Przeglądałam książeczkę druha Leona Dmytrowskiego, zasłużonego zuchmistrza, o historii ruchu zuchowego (nasza hufcowa kadra zuchowa poprosiła mnie o poprowadzenie zajęć na kursie drużynowych, stąd ta lektura) i co ja widzę? Własne nazwisko. Jestem cytowany! Okazało się, że w 1965 roku (tak, tak, ponad 50 lat temu) w „Zuchowych Wieściach” (był to miesięcznik metodyczny docierający do części drużynowych zuchowych) odkryłem, jak napisał autor książki, „bolesną prawdę”. Brzmiała ona: *Wydaje mi się, że fakty te nie miałyby miejsca, gdybyśmy w niektórych hufcach nie tylko zwiększali liczbę dzieci zorganizowanych w drużynach zuchowych, lecz również polepszyli jakość pracy.* Ileż refleksji budzi ten cytat! Odkrywa pokłady wspomnień.

Byłem aktywnym uczestnikiem ówczesnych zuchowych zmian. Jak widać (czego nie pamiętałem!), wypowiadałem się też w piśmie na piśmie! Trwała Ofensywa Zuchowa. Bardzo potrzebna. Druhowie w Głównej Kwaterze, ale i wielu instruktorów w Polsce stwierdziło, że takie będzie harcerstwo, jakie będą drużyny zuchowe. Że najważniejsze są zuchy, że od zuchów należy dochodzić do szarż (tych instruktorskich). Ofensywę ogłoszono w roku 1957, kolejne jej etapy realizowano wolno, lecz z niezłymi skutkami. I byłoby dobrze, gdyby nie wskaźniki ilościowe, które postawiono przed komendami w ramach trzeciego etapu ofensywy. W hufcach i chorągwiach należało najpierw uzyskać 30, a przy zakończeniu ofensywy 50% zorganizowania.

Wtedy, gdy pisałem artykuł do „Zuchowych Wieści”, walczyliśmy (wszak to była ofensywa) o owe 30%. Liczebność uzyskaliśmy (w roku 1966 mieliśmy w ZHP pół miliona zuchów), ale z jakością było źle.



Prawda nie była odkrywczą, raczej było to wyjątkowo banalne stwierdzenie: ilość musi być powiązana z jakością. Nie była też, jak napisał druh Dmytrowski, bolesna. Zauważmy, jak łagodnie wyraziłem swoją opinię: „Wydaje mi się” zamiast „Wszyscy widzimy”, „w niektórych hufcach” zamiast „w większości hufców”.

Wtedy, w połowie lat sześćdziesiątych, nasz hufiec, Warszawa-Praga-Południe, mógł się poszczycić dobrze pracującym kręgiem instruktorów zachowowych „Praskie Świerszcze”. Braliśmy udział w ogólnopolskich zlotach kręgów, w rywalizacjach w chorągwi. Spokojnie mogłem sobie pozwolić na negatywną ocenę innych hufców, bo u nas autentycznie pracowaliśmy „po zachowemu”. Z obrzędowością, zgodnie z metodą, wydając własną gazetkę. Z nieprawdopodobnym zapałem, I szkoliliśmy kadrę! Krąg „Praskich Świerszczy” latem 1966 r. zorganizował kursy, w których (w trzech obozach) wzięło udział około sześćdziesięciorga uczestników. Z tej grupy, wiadomo, około połowa mogła już we wrześniu zacząć prowadzić drużyny. Jeden z tych obozów prowadziłem ja. Pozostało po nim kilka zdjęć, okruchy wspomnień. Piękne to były czasy.

I jako pointa jeszcze jedna refleksja. Czy w naszej malutkiej w porównaniu z czasami w połowie lat sześćdziesiątych organizacji, gdzie dziś trudno mówić o wskaźnikach ilościowych i gdzie cieszymy się, że w Ewidencji jest nas 100 tysięcy, wszędzie polepszamy jakość pracy? A gdybyśmy polepszyli jakość pracy, czy nie byłoby nas więcej? Ot, takie pytania retoryczne, które też mogą być „bolesną prawdą”.

# Z okazji 70-lecia harcerstwa

---

nr 3/2016

---

W poprzednim numerze „Czuwaj” sumowaliśmy naszą formalną drogę powrotu do światowego skautingu, nasze minione 20-lecie, pisaliśmy o naszych – organizacji – planach na przyszłość. I wydaje mi się, że nie udało nam się wydobyć, wyeksponować jednego z najbardziej charakterystycznych, ba, najważniejszych dla skautingu elementów programu – systematycznego organizowania zlotów. Nie, nie takich jak Złoty Grunwaldzkie (z całym szacunkiem dla przeszłości i przyszłości tych imprez), ale takich, jak zlot w Spale. A więc zlotów, o których mówić się będzie przez lata, sumować, analizować, wspominać. Zlotów, które dla kolejnych pokoleń będą najważniejszym harcerskim przeżyciem. Zlotów autentycznie całej organizacji.

Niestety nasze zloty organizowane są inaczej niż w skautingu, bo z określonych okazji. Niby systematycznie, ale są imprezami okazjonalnymi. Ot, co kilka lat skrzykujemy się na wielkiej imprezie, bo mamy jakąś konkretną rocznicę. Zupełnie inaczej jest w skautingu. Popatrzmy na skauting w Norwegii. Piszę o nim, bo przez wiele lat mój szczep współpracował z jednym z norweskich środowisk. Po wielkim zlocie krajowym, w którym bierze udział cała organizacja, a właściwie wszyscy skauci, bo maluchy nie są zapraszane do spania pod namiotami, kolejnego lata organizowane są obozy (fakt – krótkie, trwające około tygodnia) drużyn lub szczepów. Rok później odbywają się obozy hufca, następnie obóz/zlot chorągwi i po czterech latach znów zlot całej organizacji. Ten rytm jest stały, niezmienny. Zmieniają się tylko miejsca zlotów, ale w ekipach organizujących kolejne imprezy zmiany personalne nie są tak wielkie. O plusach takiego rytmu można napisać odrębny felieton.

Z naszych współczesnych zlotów, w których uczestniczyłem, pierwszym był krakowski z okazji 70-lecia harcerstwa. Krótki, wrześnieowy, na

krakowskich Błoniach zlot zastępów. Może pamiętacie, że uważam rok 1981 za kluczowy w naszym powrocie do korzeni harcerstwa. Ten zlot zaplanowany został przez harcerstwo krakowskie, tradycyjne, promujące wartości zapisane w naszym Prawie i Przrzeczeniu. Nie była to impreza wymyślona przez harcerską centralę! To nowatorstwo całkiem niebywałe! GK ZHP musiała zaakceptować fakt, że Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego przeprowadzi zlot. Pamiętajmy, że kręgi KIHAM-u były niepokorną częścią naszej organizacji. Zlot był z okazji 70-lecia, ale moim zdaniem był symbolicznym początkiem, sygnałem, że jesteśmy częścią światowego skautingu.

Z tamtego zlotu pamiętać będę kilka obrazów – najpierw entuzjazm i radość, że taki zlot zorganizować się udało. Apel 300 czy 400 zastępów (historycy harcerstwa znają ich dokładną liczbę). Ale przede wszystkim wspominam ognisko poprowadzone w nadzwyczajnej, niepowtarzalnej, podniosłej atmosferze w nieprawdopodobnie malowniczym miejscu – w krakowskich Skałkach Twardowskiego. Było nas tam co najmniej 5000. Zasłuchanych w stare piosenki i opowieści. Na temat historii harcerstwa gawędy wygłosiło kilku instruktorów, lecz tam tradycja, jaką reprezentował naczelnik Szarych Szeregów hm. Stanisław Broniewski, spotkała się ze współczesnością w osobie naczelnika ZHP hm. Andrzeja Ornata. Przeszłość zaplotła węzeł z przyszłością. Bardzo tego przez ostatnie lata w harcerstwie brakowało.

Zlot 70-lecia przypomniał nam, że w ZHP są działające zastępy, że stać nas na biwakowanie w warunkach polowych, że harcerska msza (wówczas w katedrze na Wawelu) jest czymś normalnym. Młodszy czytelnicy zapytają, cóż to takiego nadzwyczajnego. Tak, ale pamiętać trzeba, że dla polskiego harcerstwa to była nowość (zastrzegam, że nie dla harcerstwa w dużych miastach, gdzie było dużo normalnie działających środowisk). Dla harcerstwa owa normalność była odkryciem. A dla mnie, powtórzę, pierwszym krokiem do powrotu do światowego skautingu.

# O harcerskich włosach i nie tylko

---

nr 4/2016

---

**D**awno, dawno temu, w czasach, których już nikt nie pamięta... – no może nieliczni, ale duża część uczestników tych wydarzeń ma sklerozę, która usunęła z ich pamięci większą część wspomnień – a więc dawno, dawno temu żył był sobie komendant hufca, który odpowiadał najpierw za tysiąc, później za dwa tysiące a na koniec za dziesięć tysięcy zuchów, harcerek i harcerzy.

Komendant nasz (a postury był niewielkiej) wśród swej kadry (a i harcerzy) siał strach i przerażenie. Rządził żelazną ręką i (o dziwo!) miał sukcesy. Bo skąd by się wzięło owych dziesięć tysięcy członków? Nie tylko z woli miłościwie nam panującej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Aczkolwiek roli partii bym tak całkiem nie lekceważył.

Groźny nasz komendant wymyślił na początku swego komendantowania, że musimy być dobrym hufcem, najlepszym. Że musimy być prawdziwymi harcerzami. Nie tylko przestrzegając Prawa Harcerskiego, ale musimy mieć właściwe obozowe wyposażenie i odpowiednie, regulaminowe umundurowanie. Dlatego gdzieś w połowie czerwca jechaliśmy z plecakami na jakąś polaną całym hufcem, aby pokazać się naszemu hufcowemu. I nie było „zlituj się”, nie było buntów, przecież nasz gromowładny mógł nie przydzielić nam pełnej obozowej dotacji lub (zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, bo wszystko było na piśmie zatwierdzone) zrobić nam jakąś inną „krzywdę”.

W plecaku musieliśmy mieć koc, menażkę, siennik, linkę do wyplatania przycy. Ot, takie wyposażenie, które trzeba było kupić lub zdobyć przed obozem. Z kocem było ciekawie, ponieważ zazwyczaj był on zrolowa-

ny i przyczepiony na plecaku. W czasie zbiórki gotowości musieliśmy się wykazać umiejętnością rolowania. Idealny był taki, który zrolowany i rzucony w górę po złapaniu nie rozpadł się. A jak ów zrolowany koc wyglądał, możecie sobie obejrzyć w dawnych poradnikach. Pamiętacie? Śpiworów nie było, materacy podgumowanych też. Tylko sienniki, które po przyjeździe na obóz napychało się słomą.

A co z włosami? Tu powinienem oddać głos Rysiowi, który – artysta – miał długie włosy noszone niedbale. Druh komendant długich włosów nie tolerował, oczywiście u chłopców. W czasie zbiórki gotowości wydobywał tych z kudłami pod rogatywkami i... wysyłał do fryzjera. Jakich to sztuczek nie wymyślał Rysio, aby zachować swoje artystyczne włosy! I wyobraźcie sobie, zazwyczaj udawało mu się oszukać komendanta. Ale Rysio był jeden, tych, którzy nie zaliczali zbiórki gotowości – dziesiątki. Bo przecież na tej zbiórce stawał się tysiąc czy dwa tysiące harcerzy! Nie, dziewcząt takie restrykcje nie obejmowały, ale pamiętać trzeba, że wszyscy musieliśmy być wzorowo umundurowani. Wystarczyło niewłaściwe obuwie, aby odpaść i pojawiać się na „poprawce” zbiórki gotowości.

Dlaczego o tym piszę, sumując moje minione pół wieku instruktorskiej służby? Bo te czasy już nie wrócą? Bo nie mamy komendantów z autentycznym autorytetem? Bo dziś nie chciałoby nam się pojechać na taką zbiórkę? Bo są już inne czasy, gdy obozowanie to sama przyjemność? Bez wysiłku i autentycznych wyzwania? Ileż pytań. No tak, i pamiętać musimy, że te piękne czasy, gdy obowiązywały harcerzy krótkie włosy, już nie wrócą. I dobrze.

# Mój dom, numer, ulica

---

nr 5/2016

---

To było równo pół wieku temu. Nasza chorągiew przygotowywała się do przyjęcia imienia Bohaterów Warszawy. Programowo i organizacyjnie. Był rok 1966. Do wielkiej uroczystości, jaka miała miejsce na stadionie Legii, mieliśmy jeszcze sporo czasu. W komendzie chorągwi najtęższe głowy (co ja między nimi robiłem, kto mnie tam zaprosił?) zastanawiały się, jak przygotować drużyny i szczepy do ważnej imprezy, do nadania imienia i wręczenia chorągwi nowego sztandaru. Myśleliśmy o wspólnych zadaniach programowych – takich dla wszystkich zuchów, harcerzy i harcerzy starszych. Nie było to proste. Przecież bohaterowie naszego miasta to dla nas przede wszystkim żołnierze z czasów II wojny światowej. I wybijający się w harcerskiej tradycji członkowie Szarych Szeregów. Jednak nie mogliśmy zapomnieć o ludziach, którzy dwadzieścia lat wcześniej odgruzowywali nasze miasto po wojennych zniszczeniach. Nie mogliśmy zapomnieć o bohaterach tamtych dni. Jak sensownie powiązać dzieje wszystkich bohaterskich warszawiaków w jednym programie?

Tu potrzebna jest dygresja. Ważna dla młodszych czytelników. W tamtych latach (ZHP liczył ponad 1,5 miliona członków) byliśmy przyzwyczajani do realizowania wspólnego harcerskiego programu. Czasem hufca, czasem chorągwi, a niejednokrotnie całego ZHP. Takimi sztandarowymi ogólnozwiązkowymi zadaniami od 1965 roku były alerty Naczelnika ZHP, zazwyczaj powiązane tematycznie z istotnymi dla państwa rocznicami. Ten pierwszy to „Alert Zwycięstwa – Harcerski Zwiad Wiosenny”. W dwudziątą rocznicę zakończenia wojny między innymi oddaliśmy hołd ludziom, którzy polegli na polskich ziemiach walcząc z Niemcami. Efekt tego alertu był zdumiewający. Na przykład harcerze zgłosili około sześciu tysięcy niewpisanych do rejestrów miejsc męczeństwa oraz grobów z okresu wojny. Rok później realizowaliśmy program „Harcerskie Wici Tysiąclecia” wraz z zadaniami II Alertu „Ludzie naszych czasów”.

Jasne było, że harcerstwo musiało się włączyć aktywnie do obchodów 1000-lecia naszej państwowości. I tak dalej, i tak dalej.

Gdy zastanawialiśmy się, jak przybliżyć naszym zuchom i harcerzom bohaterów Warszawy, wpadliśmy na pomysł najprostszy z możliwych. Ci bohaterowie przecież żyją obok nas. W naszym domu, przy naszej ulicy. Trzeba ich tylko odnaleźć.

Tu dygresja numer dwa. Uważałem i uważam nadal, że poznawanie świata, także w harcerstwie, powinno mieć swoistą logikę. Dlatego zuchy najpierw powinny poznawać najbliższe i znane im zawody – listonosza, strażaka, lekarza. Dlatego zwiad zuchowy prowadzi na pocztę czy do przychodni zdrowia. Harcerze powinni patrzeć dalej – to oni organizują sobie rajdy i wycieczki, czasem w odległe rejony Polski. Im starsi, tym dłuższe, dające więcej wiedzy i przeżyć. Nie będę rozwijał tu tematu. Po prostu w poznawaniu świata powinna być jakaś logika. Musimy coś wiedzieć o sobie, aby poznawać innych. Dziś owa logika jest zachwiana. Nie musimy znać swojego miasta, by pojechać na obóz skautowy. A to, że naszym przyjaciółom skautom o naszej ziemi ojczystej nie umiemy zbyt wiele powiedzieć, tym się nie przejmujemy.

Wróćmy do roku 1966. Usiadłem przy opracowywaniu koncepcji programu „Mój dom, numer, ulica”. To proste. Zastępy harcerskie miały tworzyć coś w rodzaju monografii jednej ulicy, jednego osiedla, jednego placu. Tego miejsca, które można nazwać małą, raczej małą ojczyzną, tą harcerzom autentycznie najbliższą. Zadanie jedno – odwiedzać sąsiadów, szukać dziadków, którzy byli żołnierzami, szukać babć działających w podziemiu, pytać o trud odbudowy stolicy. W trakcie odwiedzin robić z nimi wywiady, notować (przecież nie było przenośnych magnetofonów). Tych, których harcerze uznali za bohaterów lub po prostu za osoby ciekawe, zapraszać na zbiórki. Owa monografia ulicy to nie tylko spisane rozmowy, to zdjęcia budynków, krajobrazu, to opis obiektów użyteczności publicznej, to odtwarzanie historii ulicy od jej powstania. Jakież to było wdzięczne dla harcerzy zadanie. Czy mam wymieniać, jakie można było przy okazji zdobyć sprawności? Jakież zaliczyć wymagania na kolejny stopień harcerski? Ale najważniejsze było, iż harcerze przekonali się, ilu ciekawych ludzi mieszka wśród nas. Tych, których można także było nazwać bohaterami Warszawy.

W drużynie, która była mi bliska, bo ją kiedyś współprowadziłem, powstała monografia ulicy, przy której mieszkałem. Harcerze znaleźli tylko jednego starszego już instruktora harcerskiego, okazało się, że wówczas zaangażowanego w działalność Nieprzetartego Szlaku. Ale za to mieszkało przy niej aż trzech artystów – malarz, rzeźbiarz i twórca plakatów. Była jedna ambasada i dom modlitwy tajemniczego wyznania. W najpiękniejszej kamienicy, która mogłaby być siedzibą ambasadora, mieszkały chyba najbiedniejsze w okolicy rodziny. Harcerze się zdziwili. Ale prawdziwy były polski ambasador też się znalazł kilka budynków dalej. No i jeszcze harcerze odkryli starsze małżeństwo – byli to państwo Alina i Czesław Centkiewiczowie – kto nie czytał „Anaruka, chłopca z Grenlandii”? Niby nic, a łącznie dla harcerzy wielka przygoda.

Wiele lat później, był to już początek XXI wieku, wziąłem udział w uroczystości harcerskiej w warszawskim Instytucie Głuchoniemych. Działal tam pod kierownictwem hm. Wandy Tazbirówny świetny Szczep „Tęcza”. (Pomniczek drużyny Wandy stoi dziś na dziedzińcu instytutu, upamiętniając tę niezwykłą instruktorkę). Impreza połączona była z wystawą pamiątek. I co ja widzę? Tak! Plac Trzech Krzyży, gdzie mieści się siedziba szczepu, obfotografowany i opisany w ramach programu „Mój dom, numer, ulica”. Po tylu latach zachowały się w „Tęczy” materiały z roku 1966. Musiały one coś w tym środowisku znaczyć, jeżeli nikt ich przy kolejnym sprzątanu nie wyrzucił na makulaturę. Ciepło zrobiło mi się na sercu.

Zauważcie, o czym piszę. Był jasny cel tego programu. Była prosta forma. Zadania dla drużyny mogły być bardzo proste i w zależności od poziomu zespołu – niesłychanie trudne. Była możliwość łatwego podsumowania. A do tego ile efektów! Nawiązane znajomości i przyjaźnie. Promocja harcerstwa. Zdobycie wiedzy (moi harcerze dowiedzieli się, jak powstaje rzeźba i jak pomnik). Program ten jest dla mnie pewnym wzorem, przykładem, że można, że trzeba z harcerzami realizować w drużynach takie zadania, które dotyczą najbliższych nam spraw. Ten świat na wyciągnięcie ręki też jest ciekawy! I powinniśmy go znać. A dziś czy ktoś z Was spróbuje ze swymi wychowankami popatrzeć na współczesny „Mój dom, numer, ulicę”?



# „Trójka” w skautingu

---

nr 6/2016

---

**W** trakcie mojej ponad półwiecznej instruktorskiej służby duży szmat czasu zajęły mi kontakty zagraniczne. Z harcerzami ze Wschodu, ze skautami z Zachodu. Na początku czerwca przysłała do redakcji „Czuwaj” Ewa z Muzeum Harcerstwa: – Mamy tu zdjęcie, jesteś na nim, opisz je. – A na zdjęciu trzydziestokilkuosobowa reprezentacja warszawskiej „Trójki” w czasie pierwszego powojennego wyjazdu na obóz skautowy. Rok 1981. Czy był ktoś, kto wówczas myślał o powrocie ZHP do WOSM i WAGGGS? Wątpię.

Pamiętam to zdjęcie. Zrobiono nam je już po zwinięciu namiotów na zlocie w norweskim Åsnes. To końcówka naszego pobytu. W trakcie spotkania w harcówce (a może lepiej powiedzieć – domu skautowym) miejscowego szczepu niespodziewanie dostaliśmy podarunki. Powiedzielibyśmy dziś „od pewnego sponsora”. W ładnie zapakowanej torebce każde z nas otrzymało na pamiątkę mały norweski kamyk, małą symboliczną norweską flagę i małą norweską... szynkę w puszcze. Dziwicie się? Warto przypomnieć sobie ten fragment współczesnej historii Polski. Mięso i cukier na kartki, w Warszawie po ulicy kroczące kobiety z dziećmi w tzw. marszu głodowym. Myśmy wówczas naszemu fundatorowi byli autentycznie wdzięczni. Mógł przecież podarować nam jakieś kubeczki lub serwetki.

Ten zlot był dla nas wielkim przeżyciem. Pierwsza konfrontacja ze skautingiem od czterdziestu lat. Tak, tak, nasi poprzednicy z „Trójki” oczywiście byli przed wojną na Jamboree na Węgrzech i w Holandii, byli na Zlocie Skautów Słowiańskich w Pradze. Ich reprezentacja każdorazowo była większa niż nasza. Ale to było bardzo dawno temu. Tym razem było to lato naszej wielkiej przygody. Aby „zarobić” na pobyt na dziesięciodniowym zlocie (przecież nie byliśmy w stanie wpłacić za pobyt 200 czy 300 dolarów!) przez ponad dwa tygodnie byliśmy w Norwegii „drużyną

kwatremistrzowską”. Oczywiście nie sami budowaliśmy infrastrukturę dla 20 tysięcy skautów. Latryn z tamtych czasów dziś żaden sanepid by nie zaakceptował. Inne były czasy. Ale stoły, ale ławy dziś też na każdym obozie byłyby znakomitym sprzętem. Nie, nie były wiązane. Zbijaliśmy dziesiątki takich urządzeń i wiercie mi, była to trudna fizyczna praca. Robiliśmy różne rzeczy – a to karczowanie jakichś zarośli, a to rozstawianie wielkich hangarów, w których umieszczono sklepy i magazyny. Chodzenie (ba, pracowanie) na wysokości drugiego piętra bez specjalnych zabezpieczeń i łączenie wielkich aluminiowych konstrukcji było dla niektórych wyzwaniem.

Nie dziwiliśmy się niczemu. Ani temu, że 22 lipca dostaliśmy od mieszkanki pobliskiej wsi dwie piękne, powiedzielibyśmy „ludowe” chałki, ani temu, że zaproszeni na norweską ucztę zostaliśmy poczęstowani czymś w rodzaju kaszki manny z cynamonem, która okazała się wykwintnym norweskim deserem. Nie dziwiliśmy się, że Norwegowie, gdy chcieliśmy im ugotować tradycyjny polski czerwony barszcz, nie potrafili w promieniu wielu kilometrów zdobyć normalnych buraków a później byli zdumieni, że pijemy ten czerwony płyn a wygotowane buraki wyrzucamy. Nie dziwiliśmy się, że w Norwegii jest tylko jeden klasztor sióstr ewangelickich (jakie one piekły drożdżówki!). Nie dziwiliśmy się, poznając inne obyczaje, zawierając przyjaźnie, przyjmując na kawie pielgrzymki instruktorów skautowych z całej Europy. O obozie w Åsnes mogę napisać długą opowieść. Bo nie tylko poznawaliśmy skauting od podszewki, ale i dość obcy nam świat znany przede wszystkim z lektur. Wtedy, latem 1981 roku my, „Trójka” z Warszawy, weszliśmy do ruchu skautowego i w nim przez długie lata byliśmy. Dziś jest cały Związek, ale Związek wszedł do skautingu znacznie później. I dobrze.

PS Raz się autentycznie zdziwiłem. Poprosiłem kierowcę autobusu, który wynajęliśmy na przejazd po okolicy, aby dał mi fakturę. Popatrzył na mnie, wyjął jakiś plik papierów, napisał na górnym kilka słów i dał mi. Bez ani jednej pieczętki! Ani w nagłówku, ani imiennej. Nic. Bo tam na tym nieznanym nam Zachodzie takie świstki były prawidłowymi fakturami. Oni już wtedy byli po swojej opcji zero.



# SPIS FELIETONÓW



# FELIETONY

HM. GRZEGORZ CAŁEK

Kodeks Instruktorski	6
Szukajmy okazji	8
Życzliwość i szacunek!	10
Można na co dzień	12
Warunki konieczne	14
Nienormalność w mowie	16
O co chodzi w kształceniu?	18
Dylematy i okazje wyborcze	20
Żaden, tfu, tfu, trener!	22
Refleksja o pokorze	24
To już ćwierć wieku!	26
O czytaniu i pisaniu na próbę	28
O strategicznym zaufaniu	30
Tolerować czy wymagać?	32
Warto być przyzwoitym	34
Stara promocja w realu	36
Tak, kurs trzeba przeżyć	38
Nie instruktorom h.c.!	40
Ramię w ramię z Rzecznikiem!	42
Weźcie się za swoje hufce!	44
Przed nami... też było harcerstwo!	46
Errare humanum est...	48
Fryz, pink i dziary	50
Braterstwo	52
Wierzę w harcerstwo!	54
Jaka ta nasza aktywność?	56

# FELIETONY

HM. LUCYNA CZECHOWSKA

Współczesną młodzież trzeba uczyć asertywności?	60
Jest święto narodowe – powinniśmy stać pod pomnikami?	62
Problemem naszych działań jest brak dbałości o jakość?	64
Zrobić wszystko, aby tylko nie rozwiązać drużyny?	66
Metodyka harcerska to nie problem – każdy się na niej zna?	68
Harcercz nie miesza się do polityki?	70
Dobre harcerstwo = atrakcyjne harcerstwo?	72
Nabór, czyli sztuka nabierania ludzi?	74
Kocham, więc się opiekuję?	76
Jeden projekt > jeden człowiek?	78
Nie robimy już nic pożytecznego?	80
Czy instruktor to ma być cyborg?	82
(Nie) chodzi o walkę z wadami?	84
Fizyczna obecność surowo nakazana?	86
Szef jako magnes dla dobrych instruktorów?	88
Rzetelnie znaczy krytycznie?	90
Błogosławieni miłosierni	92
Brakuje tak niewiele, a może tylko jednego: serdeczności	94
Po co płacimy do WOSM i WAGGGS te wysokie składki?	96
My lollipop power	98
Gdzie w ZHP podziały się emocje?	100
Niezmienny system wartości?	102
Zło wymuszonego wyboru	104

# FELIETONY

HM. ADAM CZETWERTYŃSKI

Byłem jak lwica	108
Nie krzywdzić dziecka!	110
Bądź twardy, ale elastyczny	112
Warto służyć ludziom...	114
Ten punkt dziesiąty...	116
Siódmy – przełomowy	118
Pół wieku... czytania	120
Harcistrz Polski Ludowej	122
Z Jolą – moją najlepszą szefową	124
Tym razem będzie o służbie	127
Nasze Przyrzeczenia	129
Mój prawdziwy obóz	131
Być prawdziwym zuchem!	133
O moich harcmistrzach	135
A jednak (niestety) tacy jak inni...	137
Wędrujemy, wędrujemy...	139
Potrzebujemy autorytetów	141
Nie pisałem pamiętników	143
Z okazji 70-lecia harcerstwa	145
O harcerskich włosach i nie tylko	147
Mój dom, numer, ulica	149
„Trójka” w skautingu	152









Troje autorów, harcmistrzów – różny wiek, różne doświadczenia instruktorskie i życiowe. Ale oprócz stopnia instruktorskiego łączy ich wiara, że słowo może zmienić rzeczywistość. Łączy ich determinacja w walce o lepsze harcerstwo!

